AKADEMICKIE OBOZY PRACY SPOŁECZNEJ

LATO 1938

WYDAWNICTWO Nr. 5. KOŁA MŁODYCH T R Z W
MŁODZI NA ZIEMIE WSCHODNIE
WARSZAWA 1939

CO TO JEST

Koło Młodych

T-wa Rozwoju Ziem Wschodnich

1. **KOŁO MŁODYCH** organizuje młode pokolenie polskie pod hasłem rozwoju Ziem Wschodnich.
2. **KOŁO MŁODYCH** inicjuje i koordynuje prace dla Ziem Wschodnich w społecznych organizacjach młodzieży.
3. **KOŁO MŁODYCH** inicjuje wydawnictwa o pracy młodych dla Ziem Wschodnich, redaguje i wydaje periodyki w postaci broszur pod hasłem „Młodzi na Ziemie Wschodnie!"
4. **KOŁO MŁODYCH** wydaje i redaguje na łamach „Dekady" kolumnę poświęconą Ziemiom Wschodnim.
5. **KOŁO MŁODYCH** co roku organizuje akademickie obozy społeczne na Ziemiach Wschodnich.
6. **KOŁO MŁODYCH** co roku prowadzi pracę społeczną w postaci bezpłatnej pomocy lekarskiej i prawnej w ośrodkach wiejskich na Ziemiach Wschodnich.
7. **KOŁO MŁODYCH** co roku organizuje pracę kulturalno-oświatową w ośrodkach miejskich Ziem Wschodnich.
8. **KOŁO MŁODYCH** co roku w ośrodkach wiejskich Ziem Wschodnich organizuje opiekę nad dziećmi.
9. **KOŁO MŁODYCH** prowadzi prace badawcze nad zagadnieniem zatrudnienia młodej inteligencji polskiej na Z. W.
10. **KOŁO MŁODYCH** organizuje wyjazdy dla celów badawczych na Ziemiach Wschodnich.
11. **KOŁO MŁODYCH** współpracuje w organizowaniu i zakładaniu kas bezprocentowych na Ziemiach Wschodnich.
12. **KOŁO MŁODYCH** organizuje odczyty o Ziemiach Wschodnich w szkołach średnich.
13. **KOŁO MŁODYCH** wykonuje prace w ramach ogólnego programu T-wa Roz. Ziem Wschodnich.

Członkiem Koła Młodych może być każdy słuchacz lub absolwent wyższej uczelni oraz absolwent średniej szkoły zawodowej.

KOŁO MŁODYCH TOW. ROZWOJU ZIEM WSCHODNICH
WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 153 m. 8, TEL. 229-00
ODDZIAŁY: WILNO, LWÓW, LUBLIN, PIŃSK, ŁÓDŹ.

505 KPiP
1100505
1100505

BIBLIOTECZKA KOŁA MŁODYCH T-wa R. Z. W.
pod hasłem
MŁODZI NA ZIEMIE WSCHODNIE!

AKADEMICKIE OBOZY PRACY SPOŁECZNEJ

MŁYNEK

TARAKAŃCE

TROKI

WILEJKA

NR. 5 KWIECIEŃ 1939 R.

NAKŁADEM KOŁA MŁODYCH T-WA ROZWOJU ZIEM WSCHODNICH
WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 153

BIBLIOTEKA
Nr. 505
Min. Pracy i Opieki Społ.

Kochaj Ziemie Wschodnie, gdzie spoczywa Serce Wielkiego Wskrzesiciela Polski, gdzie snem wiecznym śpią bohaterskie Orlęta Lwowa

Nowe tradycje

Nowe formy samowychowawcze młodzieży kształtują się najlepiej w zetknięciu z przejawami życia zbiorowego, gdzie instynkta społeczne stanowią czynnik doniosłej wagi w krystalizowaniu charakterów jednostek, podporządkowanych zbiorowości.

Różne organizacje społeczne stosowały i stosują różne metody dla osiągnięcia tych form.

Niewątpliwie jedną z najcenniejszych zdobyczy w metodyce samowychowawczej młodzieży jest obozownictwo.

Tradycję obozów w Polsce zapoczątkował i ugruntował Związek Harcerstwa Polskiego i jego to wyłączną zasługą jest spopularyzowanie, że się tak wyrażę, idei obozów.

Jeszcze tak niedawno, bo zaledwie przed dziesięciu laty, wybierający się na obóz mały harcerz nie zawsze uzyskiwał zezwolenie rodziców i aprobatę nauczycieli, a jeśli uzyskiwał, to towarzyszyły mu nie słowa zachęty, lecz najwyżej uśmiech pobłażania.

Z biegiem czasu nastąpiła wielka zmiana. Dzisiaj z nadejściem pory letniej, na obóz wyjeżdża nie tylko uczeń ze swoją drużyną harcerską, lecz i jego ojciec nie rzadko spędza urlop w jakimś obozie nad morzem lub w górach, a nauczyciel również w innym znowu obozie o charakterze wypoczynkowym, sportowym lub samokształceniowym. Słowem, obozy stały się modne. Mamy ich niezliczoną ilość, organizowanych przez różne stowarzyszenia, instytucje i niemal we wszystkich środowiskach, przeważnie miejskich, cieszą się wielkim powodzeniem.

Między innymi od kilku lat istnieją t. zw. obozy akademickie. Oczywiście te ostatnie również mają najrozmaitszy charakter. Obozy akademickie były i są organizowane dla celów wypoczynkowych, zdrowotnych, krajoznawczych i turystycznych, wreszcie w różnych odmianach dla celów czysto sportowych.

Dotychczas swoją ilością przeważały obozy wypoczynkowe, które może najmniej posiadały czynnika samowychowawczego, z tąd też w założeniach swoich zatracały istotny sens idei obozownictwa, gdzie jednostka wdraża się do pracy na rzecz ogółu.

Dlatego też obozy takie nie powinny mieć miejsca, gdyż nie wnoszą one w życie akademickie pierwiastków dodatnich z punktu widzenia społecznego, zwłaszcza dotyczyłoby to obozów subsydiowanych przez władze akademickie, a więc pieniędzmi pań-

stwowymi. Pieniądze te należy uważać za zmarnowane, gdyż dla Państwa nie dają żadnego procentu (czytaj: moralnego). Zdrowy i nie potrzebujący kuracji student powinien znaleźć ię w obozie, który wyrabiać w nim będzie najlepsze zadatki społeczne, obywatelskie, w obozie, który dzięki swym założeniom i odpowiedniej organizacji w harmonijny sposób potrafi dawać jednostce wypoczynek fizyczny wraz z wartościami moralnymi w postaci zasad i umiejętności służenia społeczeństwu.

Od czterech lat **tworzy się nowa tradycja, nowych obozów akademickich o charakterze społecznym.**

Typ obozów społecznych zapoczątkowało Koło Młodych Towarzystwa Rozwoju Ziem Wschodnich i Akademicka Bratnia Pomoc Polskiej Młodzieży Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego (obecnie Akademicka Pomoc Koleżeńska „Spójnia").

Stała współpraca tych organizacji przy akcji letniej i poparcie Towarzystwa Rozwoju Ziem Wschodnich przyczyniły się do ciągłego rozrostu obozów na Ziemiach Wschodnich oraz do pobudzenia inicjatywy w coraz to innych ośrodkach akademickich do uspołecznienia ich obozów.

Niniejsza broszura, jak również broszury poprzednio wydane obrazują początek i rozwój nowych tradycji obozów akademickich.

Tradycje te stać się powinny powszechnymi w życiu akademickim, jak wogóle obozownictwo, zapoczątkowane przez Związek Harcerstwa Polskiego, stało się w Polsce powszechne.

Tadeusz Burski.

DANUTA ZAWIŚLANÓWNA

O szeroki oddech

Tablica na brzegu rzeki Styru ogłasza schronisko dla kajakowiczów i innych wycieczkowiczów — w Domu Akademika. Oto napływa jeden z takich podróżników. Śpieszmy mu na spotkanie.

Kajak pan zostawi u nas, w przystani, miły wędrowniku wodny ze Styru — i proszę z nami. Broń Boże, brzeg się nie rusza, nie jest kłębowiskiem żmij, jak pan raczy mniemać. Ten mizerny wężyna, który tak zmyka przed nami do lasu, — wcale a wcale nie myśli z nas zrobić grupy Laokoona, on myśli tylko o swoim bezpieczeństwie, a nic zupełnie o sztuce greckiej. Dziwi się pan piaskowi, wzgórzu, żywicy, lasowi suchemu? Wdychasz pan rzeźwe, zdrowe powietrze i tylko komary grają ci serenady o Polesiu do ucha? — To właśnie cud naszego Domu: owiany zapachami sosnowego boru, suto podsypywany piachem, kiwa flagą z wysokiego masztu bagnom na pohybel.

Bagnom — i rozumie pan — wyziewom, zgniliznom, malariom, ba, złym głosom i chęciom ludzkim nawet. — No, niechże pan obejrzy werandę, wolno pociągnąć nosem, bo tu okno kuchenne na nią wychodzi, a mówię panu — konsumpcja pierwszorzędna!— to znaczy — sumy na obiad dzisiaj! Nie mam sumienia, że zdradzam zasumowaną gospodynię, naszą koleżankę, co dziś będziemy konsumowali, ale rozumie pan — sumy! te, które w Warszawie kosztują sumy! — Proszę, oto sala, oto stół i ławy, oto pokoje, — jest ich osiem, w tym jeden mieści w sobie ambulatorium lekarskie, a drugi jest pokojem gościnnym, w którym pan zamieszka — pozostałe — „okupowane" przez kolonistów. Jeszcze to i owo trzeba wykończyć, jeszcze tu i ówdzie okienko szybą nie błyszczy, jeszcze do jednego pokoiku trzeba wchodzić po drabinie, ale całość czarująca, prawda? Przynajmniej nam się tak wydaje, a jest nas, proszę pana, piętnaście osób z Warszawy i Wilna, studentów i absolwentów; kolonia nasza, urządzona staraniem Koła Młodych Towarzystwa Rozwoju Ziem Wschodnich — trwa trzy miesiące: lipiec, sierpień, wrzesień — co robimy? Zaraz się pan dowie, narazie proszę usiąść przy stole, dyżurująca koleżanka podsunie ci talerz jajecznicy śniadaniowej, a potem możesz chodzić za nami krok w krok, — przez cały dzień. Byłeś już w pokojach na górze i widziałś z okna — lanszafty, żywcem wycięte z dywanu poles-

kiego czaru. Powiedziałeś, patrząc na to — egzotyka, nastrój jakby egipski — kopice siana — piramidy na równinach, czar spokoju i tajemnicy. A wy — zwróciłeś się do nas — wy, przybysze— szukacie zagadek, hieroglifów i odczytujecie tę ziemię. Wy tę ziemię odkopujecie, grzebiecie się w niej, szukając źródła nieuchwytnego jej uroku. — Widzieliśmy, że cię pasjonuje nasz Dom i nasze życie, choć-żeś go jeszcze nie poznał, że chętniebyś z nami został — wędrowniku wodny, poszukiwaczu i pożeraczu przygód ze wschodniej baśni. Usadowiliśmy cię z boku, władco kajaka ze Styru i poszliśmy do roboty, — do tej to geologii, do tej archeologii, do tego szperania piramidalnego. — Widzę twoje oczy jeszcze, pełne oskomy globtrottera, który nie może uronić ani jednej nitki, ani jednej nutki, ani jednego łyka, ani jednej głoski — folkloru. Podsunęła ci pewna autochtonka ręcznik, porżnięty monotonnymi, choć jaskrawo czerwonymi koleinami haftu; tu widzę, jak się trzymasz jedną ręką tego pasa transmisyjnego, co cię wprowadza — ba, w głąb piramidy czaru tutejszego, a drugą rękę masz w kieszeni: bajońsko ty zapłacisz za swoje wzruszenie i zrobisz się bardzo łatwo półbożkiem autochtońskim. — Tymczasem nadchodzą ze wszech stron pomocnicy nasi, odkopywacze wspólni tych uroków, o których wspominałeś. Wozami przyjeżdżają zdaleka, łódkami - duszehubkami przypływają po Styrze, wloką się lasami na piechotę. Tutaj, pod naszymi oknami — ustawiają się szeregiem, gotowi, cierpliwi, senni, rzucili swoją robotę, sianobranie, łowienie ryb, doglądanie gospodarstw, z kijami, z narzędziami pracy, od której się oderwali — poprzychodzili do nas na tę ważną funkcję — kopania czaru. Czy widzisz pan, panie kajakowiczu, jakiś dziwny opręd jakby, co ich otoczył? Oni ledwie oddychają, oni są jacyś zduszeni, ci mężczyźni, kobiety, dzieci — w krasno haftowanych, brudnych koszulach; oni wyglądają tak, jakby im na powietrzu nawet było za ciasno, za duszno; ciężko są spracowani w polu i na obejściu chyba...

— Patrz! — odkrywają głowy, żeby odsłonić znaleziony przez naszych, biało ubranych kolegów — dziw. Doprawdy, trzeba nielada kunsztu czarnej magii, żeby takie porosty zaklęte zapuścić im na czaszkach i w mózgach; kołtun, gęstwa niesamowita, uważana za chorobę, to tylko — kołtun mózgu! — poplątanie zdrowego rozsądku i rozumnej myśli! Nie ma tu choroby, jest tylko ostateczne zaniedbanie włosów nieczesanych i niemytych. Ileż się muszą namęczyć nasi koledzy-lekarze, nim pozwolą im wieśniacy pocbcinać sobie te cuda na głowach — przecież ci ostatni wierzą, że obcięcie kołtuna grozi pokręceniem ciała, zgubą zdrowia i rozumu.

— Patrz! — odsłaniają ręce i nogi — nogi-dziwy. Rany, zalepione brudem, wrzody, guzy — wieloletnie schorzenia, zastarzałe ob-

rzęki; dochtory, pany, my czekoli was. Maść dajcie. Pewnie, jest czar zły, jest i dobry, oba nie zawodne i działające błyskawicznie. Złośliwy czar opluł im twarze i ciało wrzodami, powykręcał członki, nalał jadu gangreny w rany, powysysał płuca, ba, temu ot — gospodarzowi — zamieszkał w głowie i nic robić nie pozwala, a tamtemu chłopu przyprawił nawet szóste palce u nóg i rąk!

Maść — to dobry czar, to balsam uniwersalny — on spuchliznę, wrzód, gangrenę, raka nawet — usunie wmig, bez — rezania, którego boją się i uważają za zbyteczne. Wszak choroby omotały ich nakształt owadziego oprzędu, który z nich samych powstaje, bez ich woli dusi im ciało, nie przepuszczając życiodajnego powietrza, bez ich woli i mocy ginie sam, jak sam powstał, lub giną oni. Choroby te — według nich — nie mają przyczyn, spadają z góry, jak nietoperze we włosy — ratunek może być tylko nadprzyrodzonym zjawiskiem. Skręcony bólem, stężały w cierpliwości oczekiwania końca cierpienia — mózg, — nie działa, zastój myśli kompletny. W tym to oprzędzie choroby, bezsiły, niemocy, bezmyślności — wiedzą, że trzeba kosić, grabić, orać, ruszać się — ale nie wolno naruszać jednego: zleżałych warstw ubiegłych wieków rozumowania i pojmowania życia. Któż z nich się łatwo zbierze do dalekiego miasteczka po pomoc lekarską, po zbyt drogie zresztą lekarstwo? Więc, gdy się dowiadują, że ratunek przyszedł sam, jest tuż pod bokiem, że nie wymaga od nich zapłaty, nagrody, ani specjalnego wysiłku z ich strony, wierzą weń, jak w dobry cud. Wstąpiłeś, panie wędrowny, do jednej ich chaty, kłębowiska sadzy, much, dymu i rozlicznych wyziewów — tam pod świętymi obrazami leżeli ciężko chorzy, tacy, którzy położyli się do łóżek dopiero wtedy, gdy narzędzia pracy wypadły im już z odrętwiałych rąk, ci, których mają uzdrowić ręczniki wotywne, zawieszane cichaczem w nocy na wioskowym krzyżu. Pytałeś się jednego młodego suchotnika, który zaraził maleńkie dziecko brata, jedząc z nim w jednej misce. czy pragnie się ratować, czy pragnie żyć? I cóż ci odpowiedział? — Ja to muszę umrzeć, taka dola; ale do małego, to dobrze, że pany przyszli, niech jemu będzie lżej dychać, niech on jeszcze pożyje. — Kwestia tych chorych, to właśnie kwestia oddechu — swobodnego, szerokiego, śmiałego. Dorywcza pomoc chorym, to mało, ofiarowane darmo lekarstwo nie wystarczy na długo. — Chyba nigdy nie zapomnisz pan tej wsi, którą zdążałeś za kolegami-doktorami i kolegami-pienierami oświatowymi. Malutkie szybki okien, które nigdy nie przepuszczają powietrza, bo się nie otwierają w ogóle; istotnie — silny czar kazał zamknąć te okna na wieki. Wieś długa, bez zieleni, od pyłu, dymu i koloru chat, rzuconych jakby odniechcenia na piaski, jakby tymczasowo — obok jezioro prześliczne, o którym ci szeptano, wędrowcze, że kryje w so-

BIBLIOTEKA
Nr. 505
Min. Pracy i Opieki Społ.

bie zatopioną wieś pradawną, z bogatą świątynią i bujnymi ogrodami; z chat nad jeziorem, tych szarych, jakby z łaski czarnej magii niedbale porozrzucanych, — wybiegali chłopi, kobiety i dzieci, czepiali się ubrań lekarzy, zaglądali prosząco w twarze, bo to i zęby i odcięte siekierą palce u nóg i tam się porżnęli bracia, a tam dyzenteria zabija, a tutaj tylko oko jedno obejrzeć, a tę głowa bo-

li, boli, a temu w piersiach „czechoczet'sa" już tyle czasu, a tamtemu serce robi mocne „trybusz, trybusz", jakby rzeczywiście jaka zdefektowana maszyna z trybami, a ten umiera już chyba! Iluż ich jest, tych chorych? Oni są w każdej chacie. Mówili chłopi przed chwilą: pany, my czekali was. A teraz: pany, wy zostańcie z nami. My podanie złożymy, żeby dochtory z nami zawsze żyli.

Chciałeś pan posłuchać odczytu kolegi-oświatowca? Oto izba szkolna, natłoczona do ostateczności, oto płótno dla przeźroczy i przegląd najsławniejszych ludzi, najnowszych wynalazków i budowli ostatniej doby. — Kino! — kino! — słychać podniecone szepty. Warto było widzieć, prawda? — tę dziewczynę młodą, która rzuciła się gwałtownie na płótno przeźroczy, macając gorączkowo zarysy przedstawionej postaci i wołając z podziwem i zgrozą: czudo, projawa, pokojnik! — W ten sam sposób dotykają inni palcami anatomicznego przekroju człowieka na odczycie lekarskim, dziwując się tej prawdzie, pomieszanej z nieprawdą...

Teraz, gdy doktór ma pogadankę z matkami i przekłada im sposoby pielęgnowania malców, a ciebie to, panie-kochany wędrowniku mało obchodzi narazie, wyjdziemy sobie nad jezioro i zobaczysz, co się tam dzieje. Uwaga! Może chcesz zażyć emocji przygodnego startera, lub chwycić w ramiona zwycięzcę na finiszu, podekscytować się przypomnieniem oliwnych gałązek i laurowych wieńców? Zawody bowiem sportowe, wyścigi łódek i wyścigi piesze nad wodą urządzamy tutaj dla młodych chłopców. Widzisz — i w tym wypadku chodzi o oddech śmiały, raźny, rzeźki! Czy zawsze muszą krzyczeć ci chłopcy tylko w celu odstraszenia dzików, przy ogniskach podleśnych, nocą? Niech i tutaj wysadzą swą moc młodzieńczą, na brzeg tego jeziora, a potem w naszej sali na hucznej zabawie niedzielnej i rozgłośnym śpiewie o gołębiach na dębie. Lećże pan, panie kajakowiczu, coprędzej, bo ci się oczy, widzę, świecą — i daj temu zwycięzcy, rozjarzonemu nadzieją nagrody — tytoniu paczek cztery. A tamtym, pozostałym, po kilka kawałków upragnionego mydła. I przychodź pan, pod ten dąb, — tam siedzi stareńki ojciec zwycięzcy sportowego, tam widać gromadkę dzieci z półkolonii wraz z przewodniczką, a naszą koleżanką, tam stoi dziesiątek gospodarzy z papierami w rękach, otaczając naszego dzielnego, wymownego i pierwszego do porady — prawnika. — Już po rozdaniu nagród? Więc teraz przysłuchuj się pan tym poradom prawnym. Ileż to razy zdarza się, że ten, lub ów prawujący się posiada wszystkie dowody korzystne dla siebie w ręku, a nie ma o tym pojęcia ponieważ oszukać go łatwo przy złej woli — czytać nie umie, lub jeśli umie, albo ktoś mu inny przeczyta — znowu nie może — wyrozumieć! Ba, przy rozdawaniu lekarstw to samo — bardzo trudno wyrozumieć, co z lekiem robić, choć doktór powtórzy dziesięć razy — jak postępować z lekarstwem, bywa, że na zapytanie, czy posłużyło, odpowiada wieśniak — dobre, ale gorkie! — co doktora przeraża i poraża, bo lek był specyfikiem dla smarowania zewnątrz, tymczasem bat'ko popróbował sobie smaku... Więc mów i mów doktorze, a ty radź prawniku, dobry panie „adwokacie", jak mówią gospodarze, co z tym

sianem, z tą łąką sporną, z tym słupkiem granicznym począć, po jakiej stronie słuszność, gdzie krzywda, kiedy do sądu się udać?

Panie wędrowny, gdzie się pan podziałeś? Ludzie, czy czasem ten pan nie do jeziora... Co wy mówicie — — on w tej masie skłębionej? Panie drogi, cóżeś pan sobie narobił? Dzieci, puśćcież mnie do pana — proszę wybaczyć temu garnizonowi, złożonemu z osobników w wieku mocno przedpobororowym, ale on za cukierkami, które pan trzymasz w ręku, pójdzie bezpamiętnie z gołymi, a mocno umazanymi dłońmi na front — twojej bluzy bez skazy. Skaczże pan na ganek — wysoko! dlaboga — tu kocioł krupniku tych dzieciaków — ostrożnie! Gdzie idziesz, mały z cukierkami? Mamie oddać? Poczciwe chłopię! A ty? — Co, nie dostałeś jeszcze? A czymżeś napchał gębulę, że mówić nie możesz? Widzi pan, odwiedzając wsie, musimy pamiętać o wszyskich, to też dla najmłod-

szych gotuje się obiad w kotle; w dwuch wsiach prowadzimy półkolonie bez przerwy, codzień; i wie pan, coby się w jednej z tych wsi, biedniejszej, przydało? — Ha, piramida mydła, kopalnia mydła, maszyna perpetum mobile do wyrobu mydła! — Spójrz na tę kierowniczkę półkolonii tamtejszej — jaka rozmarzona; jej marzenie nieuchwytne i lotne, leciuchne — piana, piana, morze piany z mydła dla dzieci do mycia i dla kobiet do prania. Nie mogą kupować, a jeśli kto może — to nie ma mocy — pomyśleć o tym. Trzebaby było przypominać wciąż, a tymczasem — darować im przez lato jaknajwięcej.

Za panną kierowniczką, jadącą wozem do wsi, gdzie prowadzi półkolonie, biegną szeregi pastuszków — pani, pani, mydła daj, mydła daj, mydła! — a pani, szorując w chwilę potem łepetyny jasne nad rzeką białym mydełkiem, z rozczuleniem słucha zachwytów starszych dzieci, wąchających swoje rączki: pani, jak cudnie pachnie! — Tak, oddech śmiały i wonny skóry — jeszcze jeden oddech...

Wracamy do naszej siedziby, bo musimy urządzić wieczorną zabawę ludową. Panie wędrowniku, rozpoczynaj bal z nami polką, z pompą, tupaniem, bo chłopcy i dziewczęta nie wejdą do sali i sami nie zaczną tańczyć. Trzeba im pięknie „wodzirejować", wypada panu obtańczyć dziewczęta, „pany" muszą pokazać, że chcą się z młodzieżą wiejską bawić, bo inaczej płoszą się młodzi i uciekają wnet. Musisz posłuchać śpiewów, długich, prostych, monotonnych, podobnych do nieszumnych szlaków wzorów haftu na ręcznikach, bez żadnych wyskoków żywych, urywanych jednakimi pasmami w różnych odstępach. — Wąskie, krótkie pasma oddechu... Posłuchajmy, w tanecznej przerwie — bat'ki stareńkiego, co porównuje czasy „Mikołki" z obecnymi, co składa ręce nad dożywianiem dzieci, nad „posadą" swego syna przy robotach rzecznych, nad komasacją, przeprowadzaną w jego wsi; czy my tacy straszni ludzie, mówi, że wy, pany, tak rzadko do nas przyjeżdżacie? Wy wsio możetie, wsio umiejetie, wsio znajetie, a jak kto dla nas dobry, to i my dobrzy, my ani tacy źli, ani głupi; — czy nie rozrzewnił się i drugi wieśniak, w średnim wieku, który pochował jednaścioro dzieci i mocno się zamyśla nad życiem pozagrobowym? — pany, wy znajetie, jak tam jest?

Hallo! — Czemuś się pan porwał z ławy i wybiegł na klomb przed domem? Panie drogi, to przecież pacjentka, a kolega, na którego ona ostro naciera, to jej lekarz! Biedaczka, ma wprawdzie kaprysy rozpieszczonej damy, ale nic dziwnego, cierpi tak mocno, że aż z bólu wywróciła swego doktora, co ją rozpaczliwie — łapał! Mam zaszczyt przedstawić, nasz jeszcze jeden doktór i jego chora, co się, pan wybaczy — właśnie gzi — cierpiąca na nerwy, mimo, że hoża z wyglądu — Krasula. Sporo już jej krewnych wyleczył pan lekarz weterynarii, czyli „lek-wet" jak my go nazywamy, wielu już rumakom zaglądał po wsiach w zęby i z całą nierogatą sforą się pokumał... On to, niech mu wybaczonym będzie — znosi nam jeże do łóżek...

Oczywiście — przypatrzyłeś się i naszemu wypoczynkowi — nie zapieramy się wcale naszych lekkich rozrywek: kajaka, plaży, kąpieli, siatkówki, patefonu — ani wyławiania tych jeży spod łóżek, ani tych doktorskich pląsów po sali celem rozprostowania kości, ani ściągania cielaków do zarżnięcia — z balkonu, — gdzie obo-

wiązkowo wszystkie szukały śmierci samobójczej, ani tych audycyj o świcie i północy, gdy to medycy rozbudzili i ciebie, miły gościu, 50-krotnym powtórzeniem jednego i tego samego refrenu popularnej piosnki, oraz recytacją — dość głośną — wierszowanych aktualii bieżącego dnia.

Tak więc poznałeś już nas wszystkich i naszą pracę, jak się szumnie wyraziłeś na początku — odkopywania czaru. Trzymasz jeszcze ten pas transmisyjny — ręcznik haftowany — w dłoniach, już opłacony hojnie wzruszeniem. Chętnie i lubo widzicie wy, podróżnicy, tę piramidę czasu egzotycznego, odhaftowaną czerwono

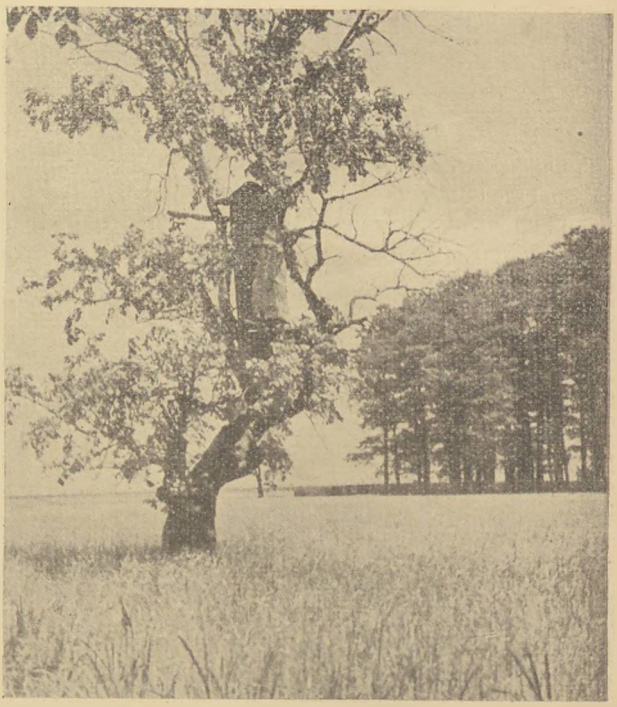

i czarno, obśpiewaną śmętnie i rozrzewniająco, obitą hołubcami tańców, ugarnirowaną bocianami, o których tak przecie „rozczulająco" wyraża się wieśniak — on, bocian, mieszka na górze, ja na dole, a jemy razem; opisujecie ją, oglądacie, badacie i — odchodzicie, zapominając, że ludziom, żyjącym wewnątrz — może jest za duszno, zapominając, a często i nie wiedząc, że w pysznych piramidach egzotyki — przebywa nie rzadko trujący czar, jak w tych prawdziwych, egipskich, gdzie dławiły nieraz ciekawych szpera-

czy złe trucizny. Za cenę hieroglifów i tajemnic tej ziemi, w podzięce za raczenie się cudami przedhistorycznych nastrojów, trzeba ofiarowywać oddech, możność „dychania" tym ludziom, trzeba wybijać otwór w piramidzie, zbyt już wiekowej.

Dawać bez końca szeroki oddech:

ziemi nierozdrobnionej na dziesiątki cząsteczek; plonów, nie zżeranych przez dziki;

oddech jasnych chat, zdrowego ciała, mytej, czystej skóry;

oddech płuc młodych — w zabawie i organizacjach, w sporcie, odwracaniu uwagi od czyhających na zastygłe w bezruchu młode dusze i ciała — wrogie podszepty;

oddech instrukcyj, rad, wskazówek, pomocy prawnych, gospodarczych, dowiadywania się nowych rzeczy i chęci zmian na lepsze;

oddech dzisiejszego dnia — a przede wszystkim — oddech obecności ludzi z szerszego świata, wspólnoty z nimi, przyjaźni i zaufania.

— Żegnaj, panie kajakowiczu; wiesz już teraz, że są przygody, mój ty egzotyku, których nie można połknąć, jako ostrygę i czuć ją w sobie z zadowoleniem, że spożyło się nie spotykany na innym miejscu fenomen. Dowiedziałeś się o takich, które lubią rozrastać się polipem w duszy, nie można ich połknąć bezkarnie.

— My, studenci, obraliśmy sobie za cel cząstkę tego ogromnego zadania, jakie jest do wypełnienia w tej dzielnicy kraju, musimy wracać jeszcze do swego akademickiego życia, ponadto potrzebna nam jest duża pomoc materialna, bo u progu Nowego Roku — wyrażamy przekonanie, że nie tylko nie zawiedzie nas w ciągu przyszłych wakacyj nasz własny zapał, ale — i pomoc starszego społeczeństwa, bo wiele, jak najwięcej nam potrzeba leków, mydła, książek, pism, gazet, zabawek...

— Daleko jeszcze do uregulowania owych wielu oddechów, potrzebnych do życia tej dzielnicy, ale jest już jedno, najważniejsze — odetchnięcie ulgi tych ludzi, — gdy w pełni lata — bat'ko kulejący powtarza radosną wieść diad'ce kaszlącemu:

— pany — uże — są!

M Ł Y N E K

FRANCISZEK MIŁKOWSKI

Trzeci obóz w Młynku nad Styrem

Trzeci obóz społeczny podobnie jak drugi został zorganizowany przez Warszawskie Koło Młodych Towarzystwa Rozwoju Ziem Wschodnich przy współpracy Akademickiego Koła TRZW. w Wilnie. Obóz o charakterze czysto społecznych posiadał następujące kierunki działalności w terenie:

1) pomoc lekarska i weterynaryjna,
2) akcja oświatowa,
3) półkolonie dla dzieci.

Pomoc medyczną prowadzili absolwenci medycyny USB z Wilna, udzielając porad i pomocy omówionej szczegółowo w zamieszczonym poniżej sprawozdaniu.

Akcja oświatowa obejmowała odczyty z przeźroczami, pogadanki, zawody sportowe i t. p.

Półkolonie dla 60 dzieci ze wsi Młynek i przeszło 200 dzieci z pobliskiego osiedla Ciołkowicze Wielkie miały na celu dożywianie dzieci oraz przysporzenie im rozrywek w formie gier i zabaw, śpiewu względnie praktycznych pogadanek. Dzieci poleskie z natury spokojne i nieśmiałe, dają się bardzo łatwo prowadzić i wychowywać, nic więc dziwnego, że rezultaty osiągnięte przez półkolonie są dodatnie. Wiele z pośród dzieci poleskich, przebywających na półkoloniach w Młynku, odznaczały się nieprzeciętną inteligencją, o czym świadczy dobre opanowanie ról przez poszczególne dzieci podczas urządzonego przez kierownictwo półkolonii przedstawienia. Bardzo wiele radości sprawiły dzieciom paczki z zabawkami i słodyczami, ofiarowane przez warszawskie firmy.

Z wydatną pomocą pieniężną dla półkolonii w Ciołkowiczach Wielkich pośpieszyło Nadleśnictwo z Moroczna, które ofiarowało produktów spożywczych na sumę zł. 250.—. Po wyczerpaniu produktów ofiarowanych przez Nadleśnictwo, wydatki na półkolonie pokrywano z subsydium Zarządu Głównego TRZW. Ogólna suma wydatków za okres od 17 lipca do 1 września wyniosła dla półkolonii Ciołkowicze i Młynek zł. 557,96.

Współpraca Akademickiego Obozu w Młynkach z półkoloniami dała dodatnie rezultaty i koncepcję tę należałoby kontynuować

podczas licznie urządzanych Obozów Letnich na Ziemiach Wschodnich.

Półkolonie prowadzone przez młodzież akademicką w Młynku i Ciołkowiczach Wielkich stały na wysokim poziomie wychowawczym a odpowiednie podejście do najmłodszego elementu poleskiego sprawiło, że dzieci uczestniczące w półkoloniach długo będą pamiętać owocną pracę młodzieży z Warszawy i Wilna.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje ofiarna praca kol. Danuty Zawiślanówny z Wilna i kol. Janiny Kalinowskiej z Warszawy. Kol. Danuta Zawiślanówna codziennie jeździła do swojej dzieciarni 5 klm. furmanką.

Obóz Akademicki trwał od 4 lipca do 15 września. Ilość uczestników, pochodzących z różnych ośrodków Polski, wynosiła 16 osób, z czego 8 osób z Warszawy, 5 z Wilna, 1 z Lublina i 1 z Łodzi. Obóz

Młynek — Zawody sportowe dla miejscowej ludności — bieg

Akademicki w Młynku o charakterze społeczno-wychowawczym różnił się od innych obozów społecznych na Ziemiach Wschodnich swoją długotrwałością (2 i pół miesiąca), szerokim programem ze szczególnym uwzględnieniem pomocy lekarskiej dla miejscowej ludności oraz tym, że działalność jego była dalszym ciągiem rozpoczętej przed 3 laty akcji społecznej na tym samym terenie, ina-

czej więc jak Wędrowne Obozy Koła Medyków, które trwały tylko po 3 tygodnie przenosząc się z miejsca na miejsce.

Każdy z uczestników obozu wykonywał ściśle zakreślony program pracy pod kierownictwem Prezesa Koła Młodych. Szczegółowe wyniki prac wykonanych na Obozie przedstawiamy w osobnym sprawozdaniu.

Obóz finansował Zarząd Główny TRZW., częściowo zaś Ministerstwo W. R. i O. P. oraz BGK.

Wydatki na Obozie były następujące:

Organizacja Obozu	51,25 zł.
Przewóz sprzętu	99,86 „
Patefon i płyty	95,35 „
Przejazdy kolejowe	110,70 „
Służba	130,00 „
Ambulatorium	317,75 „
Wyżywienie	1.401,77 „
Furmanki	89,70 „
Lodownia	72,60 „
Różne	58,45 „
R a z e m	2.427,43 zł.

Koszty wyżywienia jednej osoby dziennie wyniosły 1,48 zł. Obóz miał wiele wydatków przy organizowaniu się, trzeba bowiem było dokupić zużyty sprzęt oraz przewozić wiele skrzyń z lekami i zaopatrzeniem obozowem.

Omawiając działalność tego Obozu trzeba stwierdzić, że była ona znaczna i pożyteczna i dla terenu, któremu dano wiele i dla uczestników - studentów. Miejscowa ludność poleska dawała niejednokrotnie dowody wdzięczności dla studentów, szczególnie w okresie epidemii czerwonki, kiedyśmy to razem znaleźli się w krytycznym położeniu. Ludność ta z natury nieufna i zamknięta w sobie, w stosunku do obozowiczów okazywała często otwartość i szczerość, większą niż w stosunku do miejscowych „panów". Nie łudzę się wcale co do wielkości tego stosunku, trzeba bowiem wiedzieć, że zdobycie całkowitego zaufania nie łatwo przychodzi. Bezpośredni i szczery stosunek studenta przełamał jednak opór Poleszuka i jego wrodzoną nieufność do nowych ludzi, nie samym gadaniem a konkretną pracą i pomocą w jego biedzie.

Z drugiej strony ludność ta zasługuje na pomoc, chociażby ze względu na jej ciężkie położenie gospodarcze. Musi jednak zrozumieć, że jej obowiązkiem jest właściwa postawa wobec Polski, która traktuje Poleszuków jak „Kaszubów, Ślązaków czy Górali". Głosy pochodzące ze wschodu czy południa, które się w niektórych wsiach odzywały, mogą tylko bałamucić i obiecywać, ale pomocy Poleszukowi nie wróżą i nigdy nie przyniosą.

Polska, katolicka część społeczeństwa miejscowego, to nieliczni właściciele majątków, eksploatowanych często przez żydów (drzewo), administracja i nauczycielstwo. Działalności organizacyjnej lub społecznej prawie nie ma, gdyż jest wyraźny brak jednostek, któreby podniosły potencjał społeczny polskiej inteligencji. Element urzędniczy traktuje bowiem przeważnie swój pobyt tam jako tymczasowy. Nauczycielstwo, jako liczniejsze, zdradza większe zainteresowania społeczne, wypływające z charakteru pracy zawodowej.

Często słyszy się narzekania na rzeczywiście trudne warunki pracy nauczycielstwa, które naszym zdaniem należało by częściej przemieszczać na lepsze miejsca.

Gmina Kuchocka Wola, w której był Obóz, zajmuje naczelne miejsce w zbiórkach na LOPP., co nie jednego zapewne zdziwi, jak można z tak biednego terenu ściągać najwięcej składek — ale to już tajemnica wójta.

Koło Młodych gminą tą interesować się jeszcze będzie i w przyszłości pragnie dać trochę danych o tym pogranicznym terenie między Polesiem a Wołyniem.

Bolączką życia miejscowej ludności poleskiej jest między innymi zupełny brak zorganizowania na terenie gospodarczym. Zrozumiałe to jest naogół wobec niskiego poziomu umysłowego mieszkańców, ich tradycyjnego zacofania i tej dziwnej obawy przed nowością. Traktowanie przyjezdnego jest zrozumiałe — to występuje nietylko u chłopa poleskiego, gorszą jest jednak trudność przekonania go. Gdy ktoś przyjedzie do wsi i zrobi odczyt, chłopi chętnie i licznie przyjdą — z samej ciekawości. To często wprowadza w błąd ludzi o słabej znajomości rzeczy, którzy myślą, że chłop już im uwierzył. On zaś w rzeczywistości popatrzy, posłucha, nawet przyklaśnie, ale nie myślcie, że uwierzył. Uwierzy wówczas, gdy słowa potwierdzicie czynem.

Chcąc więc zgrupować go w organizacjach gospodarczych trzeba je założyć i dobrym prowadzeniem przekonać o ich wartościach, gdyż sam tego nie uczyni. Jak mało posiada Poleszuk inicjatywy niech świadczy przykład, że w Młynku, gdzie gospodarze posiadają po kilkanaście krów, zaś żaden z nich nie mógł dostarczyć 10 litrów mleka dziennie na Obóz. Zapytani odpowiedzieli, że dotychczas nikt mleka nie kupował, więc nie starano się wcale, aby go więcej było, niż dla siebie potrzeba.

Załóżmy tam jednak mleczarnię, a przekonamy się w ciągu roku ile każdy z nich włoży starań, aby jego krowy więcej dawały mleka. Podaję to jako przykład braku inicjatywy, którą trzeba narzucić z zewnątrz. Tak samo nasze odczyty i nasza propaganda nie miałaby żadnych prawie wartości, gdyby nie towarzyszyła jej opieka lekarska, pomoc prawna, dożywianie dzieci i t. d.

Ukraiński „Nasz Prapor" pisał, że poleszucy na naszych odczytach nie wiedzieli nic o Warszawie i Gdyni, ale za to wiedzieli o Chmielnickim i Szewczence — trochę panowie z redakcji „Naszego Praporu" mylą się, widocznie źle ich poinformowano. Chłopi ci wiedzą jednak dobrze, że Polacy a nie Ukraińcy niosą im pomoc w ich ciężkiej doli.

A dola ich rzeczywiście ciężka; zapadłe wsie często przez wiele miesięcy nie widzą kulturalnego człowieka. Mam przed sobą cha-

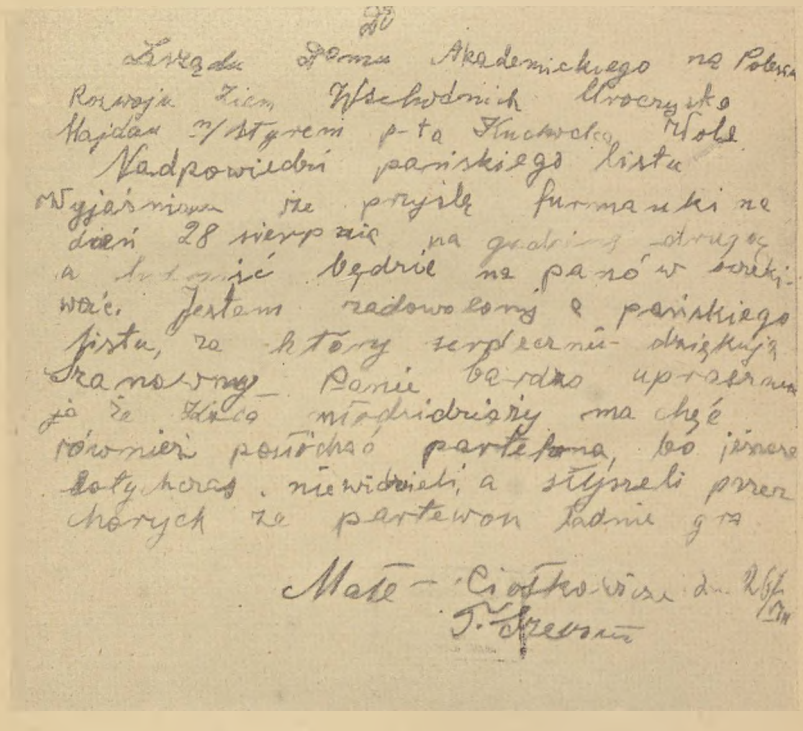

rakterystyczny list, zawierający prostą prośbę o przyjazd do jednej z takich zapadłych wsi, gdzie nie słyszano jeszcze patefonu.

We wsi tej podczas zawodów sportowych wynikł spór, gdyż jedni z zawodników wybiegli ze startu na „trzy" inni zaś na „cztery" (liczył sołtys). Podczas tego sporu usłyszałem zdanie: „Ty Iwan durak, ty w wojsku nie był i ne znajesz szo na try treba". I ten co był w wojsku miał rację i posłuch ogólny, gdyż takich uważają tu wysoce.

Chłopcy mają za zaszczyt służyć w wojsku. Mową i poziomem umysłowym wyróżniają się znacznie od swoich towarzyszy. Zwróciliśmy na takich większą uwagę, ponieważ od nich zaczynać należy swe poczynania oświatowe i rozwijać w nich to, co nabyli w wojsku. Ci może z największym zainteresowaniem oczekują kto na lato przyjedzie do Młynka. Oczekują też ci wszyscy, którzy swoje choroby do przyjazdu lekarzy trzymają, oczekują nietylko dzieci wygłodzone przednówkiem, ale setki chorych, którzy od czasu naszego wyjazdu nie widzieli lekarza. Oczekują nietylko dla ognisk, odczytów i pogadanek, ale najbardziej dla pomocy i rady w ich ciężkiej doli.

Nie jeden czeka z podaniem, by je student napisał, bo we Włodzimierzu musi kilka złotych za napisanie zapłacić. Czekają tacy — czekają też i inni.

Polska od zarania swoich dziejów niosła na Wschód łacińską kulturę ducha i zachodnio-europejską cywilizację

Sprawozdanie pracy kulturalno-oświatowej

Ogólne kierownictwo nad działalnością kolonii i pracą w tej dziedzinie sprawował prezes Koła Młodych przy T. R. Z. W. w Warszawie kol. Miłkowski Franciszek. Udział w wykonaniu brali członkowie Koła Młodych przy T. R. Z. W. w Warszawie i Akademickiego Koła T. R. Z. W. Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

Zadanie pracy sprowadzało się do dwóch zasadniczych płaszczyzn: 1) naukowej i 2) społecznej.

Płaszczyzna naukowa traktowana była jako pogłębienie studiów nad miejscowym elementem oraz wyzyskanie na tej podstawie zasadniczych metod dla prowadzenia pracy społecznej. Kwestia ta miała decydujące znaczenie ze względu na specjalne warunki geograficzne, etniczne, kulturalne i gospodarcze Polesia, które dla będących pierwszy raz na kolonii były znane w małym zakresie i tylko jako wiadomości przekazane. Drogą bez pośredniego zaznajomienia się ze zjawiskami życia poleszuka, przyczynami nadającymi im specyficzną treść i formułę, reakcją jego na różne zewnętrzne bodźce, a przede wszystkim na działalność kolonii, wyrabiali swój sąd i podejście do ludności młodzi działacze. Wychowanie ich było bowiem konieczne ze względu na znamienny proces w życiu akademnickim, ponieważ jednostki rutynowane w dziedzinie pracy społecznej po opuszczeniu uczelni najczęściej z przyczyn nie zależnych od siebie zmieniają lub nawet w ogóle wycofują się z dotychczasowych placówek. Ażeby one nadal istniały i działalność wykazywała wyniki na pewnym poziomie, młodzi koloniści musieli zapoznać się z treścią zjawisk zachodzących w danym wycinku rzeczywistości społecznej oraz z metodami realizacji wytyczonej powinności.

Postulaty właściwej pracy kulturalno-oświatowej wynikały ipso facto z istnienia kolonii na terenie zamieszkałym przez dany element, ale korygowane były na podstawie doświadczeń poprzednich kolonii i własnej obserwacji. Zasadniczy problem wyłaniający się spośród innych to dążenie, aby przez oświatę odpowiednio urobić, wychować społecznie i państwowo miejscową ludność. Wynikało to z całego zespołu warunków, a przede wszystkim: etnicznych, kulturalnych, historycznych, politycznych i gospodarczych. Każda czynność odnosząca się do zakresu działalności kulturalnej zmierzała, aby przez podanie faktów, umotywawanie ich, zmienić tkwiące dotąd w świadomości jednostek narzucone historycznie kategorie pojęciowe i dane, wytłumaczyć błędnie nieraz pojętą istotę rzeczy pewnych zjawisk i zagadnień, wytworzyć w jaźni proces podporządkowania się naczelnym wskazaniom państwa.

Równocześnie z tym odrywano poleszuka od jego dotychczasowej determinacji, przesądów, wskazując zapomocą konkretnych przykładów, że przez oświatę i pracę może dojść do większej wydajności gospodarczej, przez organizacje społeczno-gospodarcze lub rodzimego handlu usunąć wyzyskującego go pośrednika wymiany towarowej, przez zachowanie przepisów higieny zmniejszyć śmiertelność i skutki chrób itp. Całe jego życie, dotychczas oparte na: w mrokach stuleci ginącej tradycji i obcym wpływie w czasach niewoli, poddane krytycznej rewizji widział już w innych świetle i sam bezpośrednio, bez żadnego nacisku, skłaniał się do rad mu udzielanych. Wykładnią odnoszenia się do ludności było, że przez wniknięcie we wszystkie tajniki jej bytu, przez gruntowną znajomość elementu i metod nań działających, można zdobyć jej zaufanie, być jej wychowawcą i przewodnikiem.

Młynek — Koloniści na werandzie Domu Akademika

Środkami, którymi kolonia dysponowała w zakresie podniesienia stanu kulturalnego i wychowania obywatelskiego były: filmy wyświetlane aparatem systemu „Ornak" wraz z objaśnieniami prelegenta, odczyty, pogadanki, rozdawnictwo broszur, gazet, książek, urządzane zebrania podczas uroczystości oraz zabawy w Domu Akademnika.

Centralnym punktem działania był dom kolonii, gdzie codzien-

nie, a szczególnie podczas świąt, tłumnie napływała ludność w celu zaspokojenia swych potrzeb jak: porady lekarskie lub prawne, czy też dla posłuchania radia i z zwykłej ciekawości. Pozostawali się na wieczór, aby ujrzeć film, posłuchać odczytu i później pobawić się na zabawie. W czasie zabaw zwracano szczególną uwagę na obyczaje elementu i niewłaściwe starano się wykorzenić. W czasie trwania kolonii wygłoszono w Domu Akademnika 7 odczytów, wyświetlono 6 filmów, odbyło się 9 zabaw.

Najłatwiej, przekonywująco wpojone i bardziej trwałe były wrażenia doznawane przez ludność wzrokowo, a więc filmy wraz z objaśnieniami. Oczyty i pogadanki wywierały silniejsze wrażenie na typy o większej indywidualności: przede wszystkim na tych mężczyzn, którzy służyli w wojsku i młodzież. Tematy filmów były wzięte z historii Polski, jej upadku i powrotu do bytu państwowego, obecnego rozwoju, czynów wielkich ludzi, zdobyczy Polaków na wszystkich polach działalności, z dziedziny życia gospodarczego oraz geografii ogólnej. Odczyty ujmowały zagadnienia podobne, a szczególnie jeśli nie było w danej kwestii filmu. Pogadanki w swej treści dotyczyły aktualii wyłaniających się w czasie pracy, obowiązków obywatelskich, zagadnień życia codziennego. Z własnej inicjatywy koloniści wygłosili w czasie trwającego tygodnia L. O. P. P. szereg pogadanek, tak w Domu Akademnika jak i w terenie, ilustrujących zgrozę wojny, napadów lotniczych i gazowych, stosowanie obrony biernej i rozdali 2000 ulotek.

Oprócz fukcjonowania stałej placówki prowadzona była akcja w terenie, w okolicznych wsiach, w promieniu 12 km. Ponieważ techniczną niemożliwością było, żeby ludność z całej okolicy przybywała do Domu Akademnika, szczególną uwagę położono na pracę terenową. Wyjazdy z aparatem do wyświetlania filmów odbywały się jaknajczęściej, ażeby każdej wsi udostępnić kilkakrotne oglądanie oraz wysłuchanie odczytów i pogadanek. Przy każdym zetknięciu się w pracy z elementem miejscowym rozdawano broszury, książki, gazety. Punktem wyjścia w dążeniu do opanowania terenu był sąd, że tylko bezpośredni kontakt, bezpośrednio skierowane słowa mogą wywrzeć skutek — nie zaś echa jakie donosili ci, którzy z tytułu swego wieku, warunków, potrzeb lub zainteresowań przychodzili często do kolonii. Akcja prawadzona była w terenie tak, aby jaknajwiększa liczba jednostek była przez nią ogarnięta, aby akcja była całkowicie społeczną lecz nie dla grona chętnych, czy wybranych. Ogółem w terenie wyświetlono 27 filmów, wygłoszono 31 odczytów i pogadanek.

Dodatkowo w ramach działalności kulturalno-oświatowej prowadzono dział sportowy. Urządzane były zawody pływackie,

wyścigi na łodziach, biegi itp. Zwycięzców nagradzano machorką, mydłem itp. Myślą przewodnią tej działalności było podniesienie stanu fizycznego ludności, wytworzenie warunków do rywalizacji jako czynnika postępu, zdyscyplinowanie przez zasady sportowe zawodników i nagradzanie jednostek o przejawie chęci wybicia się w tej dziedzinie. Szczególną uwagę poświęcano pływaniu jako czynnikowi popularyzacji zakrojonej na szeroką skalę akcji czystości prowadzonej przez medyków.

Młynek. Półkolonia dla dzieci ze wsi Ciołkowicze

W ogólnym rzucie oka na działalność kulturalno-oświatową powiedzieć można, że chodziło o uświadomienie ludności przez ujęcie obrazu jednostki i grupy społecznej na tle państwa jako czynnika kultury i postępu, o mocne podkreślenie wielkości Polski, o jej wytężonym wysiłku do potęgi i świetności.

Poradnia prawna Kolonii Akademickiej w Młynku nad Styrem.

Wśród wielu potrzeb jednostki, wynikających z życia społecznego, jedną z najważniejszych jest porzeba dochodzenia pretensji na drodze prawnej. Mając to na względzie, oraz warunki lokalne, w postaci odległości do najbliższego sądu wynoszącej 40 km; przy kolonii, utworzona została poradnia prawna, funkcjonująca na zasadzie przepisów, przewidzianych dla biura próśb i podań. Udzielanie porad i pisanie podań dla miejscowej ludności zakwalifikowane zostało, jako akcja społeczna i odbywało się **bezpłatnie.**

Ilość udzielonych porad wyraża się w cyfrze 179, napisanych podań 116. Sprawy cywilne 52 proc., karne i karno-administracyjne 34 proc., administracyjne i inne 14 proc.

Władysław Falkowski

Z przykrością zaznaczyć musimy, że znalazły się osoby, które chciały doszukać się w działalności poradni wykroczeń prawnych i nawet spowodowały dochodzenie prokuratora w Równem. Zrozumiałą jest rzeczą, że sprawa, jako nie mająca żadnych podstaw została umorzona, a o co tym panom chodziło, — to przecież wiadomo. Na przyszłość radzimy Panom z Włodzimierza o dokładniejsze zapoznanie się z właściwym przepisami. (Dz. Ust. 31-35 z dn. 28.III.33 r., poz. 269, art. 18). (red.)

Pomoc weterynaryjna w Młynku

Sprawozdanie niniejsze obejmuje jednomiesięczną naszą działalność w obozie na Polesiu. Nie mam danych, ani materiału do szczgółowego opracowania Sprawozdania, pragnę tylko zapewnić i zachęcić kolegów z wydziału meterynaryjnego do szerszego zainteresowania się praktyką wet. na Polesiu, która jest bardzo szeroka i przyjemna przy poparciu i pomocy Towarzystwa.

Ze schorzeń najczęściej w praktyce spotykanych u bydła, były wzdęcia, oraz inne zaburzenia w przewodzie pokarmowym. na tle zatruć **nadmiernie spożywanych traw kwaśnych i trujących**, np. zapalenie krotoczne jelita prostego — **proctitis haemorragica** (pospolicie zwane tam czerwonką, wzgl. krzyżową krwią). U koni trafiały się zapalenia skóry (miazgi) podeszwowej **(Pododermatitis)**, szczególnie u koni, które z wydelikaconymi kopytami na podmokłych łąkach wychodziły na twardszy lub korzeniasty grunt do lasu (furmanki). Pozatem trafiały się jak wszędzie rany i urazy w związku z pędzeniem na pastwiska (zranienia sutek o drut i in.).

Naogół w chowie włościańskim można zauważyć specjalne nastawienie na bydło (podobno tradycyjnie z ojca i dziada). Jest to coś, jakby ambicja chłopa w celu trzymania jak największej ilości krów; naturalnie, że idzie to **kosztem niedożywienia**, zabiedzenia oraz brudnego utrzymania. Przez zimę bydło to jest trzymane w ciasnych i ciemnych pomieszczeniach. O podstawach higieny nie ma mowy. Na tym tle są częste zapalenia wymienia, a na skórze zawszawienia i in. pasożyty — szczególnie częste u sztuk młodych, prowadzące do zupełnego wyniszczenia.

Jeżeli chodzi o stosunek chłopa do lecznictwa weterynaryjnego, mogę powiedzieć, że w tamtejszych warunkach jest zupełnie do-

datni. Nie mogę też powiedzieć, ażeby po wsiach wszechwładnie panowało znachorstwo weterynaryjne. Przyczyny na to mogą składać się różne. Mimo wszystko swoim następcom radziłbym przed rozpoczęciem prac właściwej wpierw zapoznać się z miejscowymi stosunkami społecznymi, obyczajami i zapatrywaniami, aby w swoim zachowaniu mieć odpowiednie podejście i sympatię, a w ten sposób wydobyć pewną szczerość i ułatwić sobie pracę oraz głębiej badać życie i stosunki ze swego punktu widzenia.

Zawody pływackie na Styrze dla ludności Młynka

Jako zasadniczy minus pracy wet. wymieniłbym uciążliwą komunikację, co bardzo utrudnia pomoc i daje mało efektu. Dlatego chciałbym zaproponować Zarządowi K. M. T. R. Z. W. aby w przyszłości, na okres trwania obozu, przy większej ilości zwierząt chorych wydzierżawił łąkę i szałas pod przyszłe ambulatorium i lecznicę weterynaryjną.

Klemens Kuca.

Kresy Rzeczypospolitej były zawsze twierdzą naszej niepodległości — pamiętaj, że niebezpieczeństwo grożące z Zachodu jest równe niebezpieczeństwu ze Wschodu

---

DR. L. MAKAREWICZ

Młynek nad Styrem

„Społeczny Obóz Akedamicki" w Młynku nad Styrem, zorganizowany przez Koło Młodych T. R. Z. W. w Warszawie, przy współpracy Akademickiego Koła Rozwoju Ziem Wschodnich w Wilnie ukończył znów swe prace, trwające od dnia 1 lipca do 1 września b. r. Trzeci rok istnienia tego obozu wykazał jak ogromne znaczenie ma on w szerzeniu kultury polskiej na ziemiach poleskich.

Obóz Akademicki w Młynku nam Styrem — to pierwszy pocisk akademicki kultury i oświaty w ciemną, mokrą masę Polesia. To pierwszy pocisk, który wzniecił ognisko — obecnie stale płonące, i rzucające swe blaski na cały powiat piński. To pierwsza placówka, na której pracuje polski akademik, i z której zapuszcza swe zagony w ziemię i duszę poleską. To pierwsza stacja, przez którą płyną błogosławieństwa i dziękczynne słowa poleszuków za tyle realnego zainteresowania się ich beznadziejnie nędznym życiem. To pierwszy bojowy garnizon młodych, walczący o lepsze jutro całej polskiej społeczności.

Ramię przy ramieniu pracują akademicy z różnych dzielnic Polski. Myśl rzucona przez obecnego prezesa Koła Młodych — współpracy młodzieży akademickiej warszawskiej i wileńskiej na wspólnym Obozie w Młynku, została zrealizowana już poraz trzeci, i dowiodła, że współpraca taka jest pożądana i przynosi duże korzyści. Wychowankowie różnych środowisk — centralnego i kresowego — uzupełniają się doskonale na Obozie, i praca ich — po wewnętrznych przeróbkach metod postępowania — staje się bardzo harmonijną i w skutkach efektowną.

Plan pracy ułożono i opracowano zawczasu, i z dniem 1 lipca przystąpiono do jego realizowania. Ambulatorium prowadzili absolwenci med., a pracę w terenie kulturalno-oświatową i udzielania porad — prawnik. Zorganizowano trzy półkolonie dla dziatwy poleskiej. Jedną grupą, składającą się z 60 dzieci, opiekowały się koleżanki z Warszawy i Lublina, drugą z 230 dzieci koleżanki z Wilna, trzecią — jedna z pań miejscowych.

*

Czyż może dać tyle zadowolenia bezmyślnie i bezpożytecznie spędzony dzień gdzieś w miejscowości „wypoczynkowej" — ile daje nam tego zadowolenia wypoczynek na Obozie połączony

z pracą w „terenie"? Niech chorzy i ułomni wypoczynkiem takim się skrzepiają — to jest ich prawo — nam zdrowym, młodym nie wolno bezmyślnie pędzić dni. Musimy w chwilach wolnych od zajęć akademickich pomyśleć poważnie o życiu zbiorowym — o społeczeństwie. Na Obozie pracujemy samodzielnie. Uczymy się ponosić odpowiedzialność za swoje poczynania — kształcimy swój charakter, odmawiając sobie wielu wygód na rzecz dobra wspólnej sprawy. Nabieramy umiejętności życia zbiorowego, w którym interes ogółu górować musi nad interesem jednostki.

Gong poranny na śniadanie nie budzi nas rozespanych i nadąsanych, nie widać na twarzach naszych znudzenia czy niezadowolenia przed dniem pracy — wypoczynku, wszyscy wstają z piosenką

Młynek — Kuchocka Wola. — P. Marszałek Bohdan Podoski gościem kolonii akademickiej.

i żartem na ustach — cały dom rozbrzmiewa muzyką i śmiechem. Nikt nie patrzy na kolegów, idących na kajak „krzywym okiem", bowiem to jest w programie dnia: jeden pracuje — drugi wypoczywa, a potem zmiana ról — maszyna obozowa musi być stale w ruchu. Kierownik prowadzi pertraktacje, by Obóz odpowiednio zaopatrzyć. Gospodyni głowi się nad kuchnią (są niedźwiedzie wileńscy, którzy lubią dobrze zjeść). Jedna koleżanka poszła już na półkolonię do dzieci, druga wsiada na furmankę, bo do dzieci trzeba jechać 4 km. Medyk w białym chałacie wchodzi do ambulatorium. Prawnicy obmyślają z Prezesem wieczorną kampanię odczytową z „Ornakiem" do sąsiedniej wsi i udzielają porad licznie zgromadzonym Poleszukom.

Do obiadu siadają obozowicze z nowinami z terenu pracy. Po obiedzie wypoczynek, a kto ma pracę, to praca. Wieczór zastaje wszystkich przy ognisku. Szeroko i daleko płyną po poleskiej równinie melodie „wiązanki pieśni legionowych", mieszają się z przeciągłą nutą poleskich śpiewek i zespalają się razem.

Dni lecą jak jaskółki, niema miejsca na nudy i bezmyślne trawienie dni jakie widzimy na t. zw. „koloniach wypoczynkowych". I co najważniejsze, po każdym dniu zostaje ślad wysiłku młodych głów i rąk. Zostają całe rzesze Poleszuków, do których świadomości dotarło nareszcie zrozumienie, że przecież żyją w swojej Ojczyźnie, która im niesie pomoc, i prawa dając im to, czego nigdy ani ich dziadowie, ani pradziadowie nie mieli. Około 300 dzieci codzień dostawało obiad, jakiego nie mają nawet w dni największych świąt. Naprawdę godna jest uznania i pochwały praca koleżanek, które nie szczędziły wysiłku, aby jaknajwięcej korzyści wyniosły dzieci z półkolonii. Troszczyły się same o odpowiednie dla nich pożywienie. Urządzały im gry i zabawy, a na zakończenie — przedstawienia, w których dzieci same były aktorami. Rozdały też moc zabawek i podarunków, a co pilniejszym — ubrania.

Czyż dziecko może zapomnieć o tych dobrodziejstwach? A czyż rodzice nie są wdzięczni za pomoc im uczynioną w dni ciężkiego przednówku i największej pracy, kiedy to niema czasu dzieckiem się opiekować i niema właściwie co jeść?

Medycy zrobili też swoje — udzielili pomocy i porad ponad 2000 chorym. Niejednego, będącego od kilku lat ciężarem dla rodziny, a nie mającego „grosza" na leczenie, „postawili na nogi" i stworzyli mu warunki, w których może się sobą sam opiekować, nie obciążając bliskich. Skutecznie walczyli z epidemią dyzenterii, — nieśli pomoc w bardzo niebezpiecznych nagłych przypadkach, które smutno skończyłyby się, gdyby nie doraźne im zapobieżenie. Uświadamiali Poleszuków przy każdej sposobności o higienie i chorobach. Urządzili dwudziesto-godzinny kurs dla gajowych gminy Kochocka Wola i dla Posterunku P. P. w Młynku z dziedziny anatomii (fizjologii, pierwszej pomocy w nagłych przypadkach), zatruć, chorób zakaźnych i L. O. P. Pu.

Sami urządzili ambulatorium, zwrócili się do firm farmaceutycznych z prośbą o przysłanie leków, celem bezpłatnego ich rozdawnictwa biednej ludności. Część leków otrzymali, ale jednak zbyt mało w tosunku do zapotrzebowania; zakupili więc leków za kilkaset złotych i pobrane wtedy częściowo należności za nie od chorych.

A czyż nie piękną była walka prawników z ciemnotą i nastrojami, stworzonymi przez wrogich nam agentów? Codzień grzmieli oni w izbach szkolnych na „szkodników", pokazywali przy pomocy

„kina" dni naszych dziejów, postępy naszego życia gospodarczego, prowadzili ciężkie i długie dysputy z „wiejskimi mądralami". I ich praca niewątpliwie otworzyła szerzej oczy Poleszuków na rzeczywistość i siłę polskiego istnienia.

Wszystkie okoliczne wsie w promieniu 40 km. doświadczyły na sobie bezpośrednio, że społeczeństwo polskie o wsi polskiej pamięta i nią się opiekuje. W Młynku, w Ciołkowiczach, Nowosiołkach, Perchala, Borowej, Białej, Jonircach, Dubowsku i innych wiedzą,

Przedstawiciel T. R. Z. W. p. Marszałek B. Podoski wśród dzieci poleskich.

że akademicy z „Majdanu" dobrze radzą, leczą i uczą co się na świecie dzieje. (Zbyt mało o tym wie, niestety, jeszcze miejscowa inteligencja).

Każdy rok takiej pracy dla wsi polskiej posuwa naprzód kulturę tej wsi o jeszcze jeden szczebel wyżej. W niektórych dziedzinach życia państwowego dźwignęliśmy się już na pokaźną wysokość i dlatego jakże przykrym kontrastem jest Polesie! Obok najwięk-

szych zdobyczy naukowych mamy „hodowlę" kołtunów i wiarę ludu w ich skuteczne działanie na zwalczanie choroby. Musimy zdobyć się wreszcie na społeczny wysiłek i usunąć ślady życia człowieka z okresu kamienia łupanego, które pokutują jeszcze wśród Poleszuków!

Wielu trzeba ludzi dobrej woli, wiele pracy i wysiłku, aby dokonać tego w przeciągu kilku lat, co musiało dokonywać się na przestrzeni z górą stulecia. Dość biernoty i nastrojów defensywnych! Musimy całą parą ruszyć naprzód w każdej dziedzinie naszych kresów. Bezwzględnie ciężką jest ta walka, tembardziej, że prowadzona być musi na dwu frontach — na jednym z ciemnotą, a na drugim z wrogami naszych idei! Zważywszy na doniosłe znaczenie w tej walce Obozów Społecznych Koła Młodych, T. R. Z. W. - należałoby organizować ich jak najwięcej!

Młynek — Zabawa ludowa

Sprawozdanie

z działalności ambulatorium Obozu Społecznego w Młynku n/Styrem, uruchomionego przez Koło Młodych T. R. Z. W. w Warszawie, przy współpracy Akademickiego Kcła Rozwoju Ziem Wschodnich U. S. B. w Wilnie za okres od 4 lipca do 4 września 1938 r.

Dnia 4 lipca ub. r. członkowie Akademickiego Koła Rozwoju Ziem Wschodnich U. S. B., absolwenci medycyny U. S. B. kol. kol. Makarewicz Leontiusz, Makarewicz Sergiusz i Bułhak Andrzej przystąpili do pracy nad podniesieniem stanu higieny wsi poleskiej w zasięgu do 35 klm. od „Majdanu" n/Styrem, do walki z brudem i zabobonami, do udzielania porad i niesienia pierwszej pomocy w wypadkach koniecznych, do badania stanu zdrowotności wsi poleskiej oraz ustalania jakie rodzaje chorób najczęściej występują na terenie wsi poleskiej.

O „dochtorach" z „Majdanu" ludność wsi sąsiednich wypytywała i oczekiwała ich przyjazdu, to też odrazu w dzień naszego przybycia zjawili się cierpiący, a my musieliśmy przyjmować ich narazie przez kilka dni we własnym pokoju, a potem już w pięknie wytynkowanym Ambulatorium. Doświadczeni w roku ubiegłym wiedzieliśmy w co należy zaopatrzyć Ambulatorium, aby w nim można było wykonywać choćby najdrobniejsze zabiegi i czynności, związane z pomocą lekarską. Zawczasu porozumieliśmy się z organizatorem Obozu kol. Fr. Miłkowskim i ułożyliśmy plan urządzenia wnętrza i spis przedmiotów, koniecznych w naszej pracy. Liczyliśmy, że dostaniemy odpowiednie subsydia, aby plany swe móc zrealizować — jednak niestety otrzymaliśmy o wiele mniej niż spodziewaliśmy się, pogodziliśmy się więc z tym, co nam przyznano i przystąpiliśmy do urządzenia i zakupienia najniezbędniejszych przedmiotów. W Ambulatorium znalazła się sofa do badania chorych, szafa na leki i narzędzia, stół, stołki (wszystko malowane olejną farbą na biało), umywalnia, miska i szczotki do mycia rąk i t. d. i niezbędne narzędzia jak: strzykawki, pincety, bańki i t. p.

Przewodnią myślą w naszej pracy nie było leczenie Poleszuków, lecz przede wszystkim uświadamianie ich o przyczynach chorób, o zapobieganiu chorobom i udzielaniu porad co mają czynić ze swym cierpieniem, dokąd się udać, jakie to pociągnie w przybliżeniu koszty i jak długo mniej więcej choroba trwać może. Dużo

cierpliwości i szczerych chęci trzeba było wykazać, aby zdobyć zaufanie Poleszuka. Długich i żmudnych trzeba było nieraz rozchoworów w Ambulatorium przeprowadzić, aby nauczyć Poleszuka jak ma postępować.

Poświęciliśmy też **15 wieczorów** na wygłaszanie pogadanek z przezroczami po wsiach na temat higieny, przyczyn chorób zakaźnych i walki z nimi. W szeregu wygłoszonych odczytów i pogadanek specjalną uwagę zwróciliśmy na **gruźlicę i czerwonkę.** Rozdaliśmy 1000 (tysiąc) ulotek, mówiących o gruźlicy jako o chorobie społecznej, o jej istocie, sposobie szerzenia się i o zapobieganiu jej.

W związku z panującą epidemią dyzenterii, która jak w poprzednie lata, tak i w tym roku obfite zbierała żniwo, skupiliśmy nasze siły, aby w miarę możności ustrzec jak największą liczbę dzieci przed zachorowaniem. Wszystkim zgłaszającym się pacjentom nakazywaliśmy mycie rąk, pilnowanie dzieci przed brudem, i unikania picia niegotowanej wody, mleka jedzenia brudnych owoców i jarzyn. Rozdaliśmy rodzicom i dzieciom na **półkoloniach 150 kg. mydła** i kazaliśmy im codziennie myć się.

Wysiłki nasze i Koleżanek, prowadzących półkolonie, odniosły pożądany skutek, bowiem tylko znikomy odsetek „naszych" dzieci chorowało na czerwonkę. Natomiast dzieci i „starzy", nie będący w naszej „bezpośredniej opiece", zapadali całymi rodzinami na tę chorobę i stanowili największy procent zgłaszających się do Ambulatorium chorych.

Ciężko jeszcze idzie walka z zabobonami i przesądami. Chociaż już coraz więcej spotyka się takich, którzy wprawdzie z bojaźnią i jakby z rezygnacją, ale poddają się „operacji ucięcia kołtuna". Zmusza ich nieraz do tego poddania się — ostateczność, bowiem zapowiedzieliśmy, że ani leków, ani porad udzielać nie będziemy chorym z kołtunami — przyciśnięci więc chorobą, godzą się na ten „ryzykowny" zabieg.

Prócz pracy w Ambulatorium opiekowaliśmy się dziećmi, których było około **300 na obu półkoloniach.** Wszyscy chłopcy mieli głowy ostrzyżone, a dziewczynki włosy krótko podcięte. Otrzymali oni mydło, a na dowód tego, że jego używają, musieli umyci stawać na apel swych Kierowniczek.

Wygłaszaliśmy pogadanki o chorobach zakaźnych i wenerycznych **dla policji posterunku P. P. w Młynku.** Urządziliśmy na prośbę Nadleśnictwa **dwudziestogodzinny kurs dla gajowych gminy Kuchocha - Wola** z dziedziny anatomii, fizjologii, pierwszej pomocy w nagłych przypadkach, zatruć, chorób zakaźnych i L. O. P. P-u. Musieliśmy ograniczyć nieco ilość godzin, ponieważ część gajowych przybyła z miejscowości odległych o kilkanaście kilo-

metrów i miała trudność z rozlokowaniem się na dłuższy okres czasu. Na kurs uczęszczało około 20 osób.

Aby mieć w pewne ramy ujęty obraz spotykanych schorzeń, prowadziliśmy „Księgę Ambulatoryjną". Podajemy dane liczbowe ilości chorych, jakości schorzeń, wieku pacjentów i wsi skąd pochodzili po to, aby wiedzieć, i aby nasi następcy wiedzieli z jakimi chorobami poleszucy najczęściej się zgłaszają, i gdzie i jakie choroby najczęściej występują. Łatwiej bowiem jest, znając teren, odrazu przystąpić do pracy i wykazać się lepszymi wynikami z tej znajomości płynącymi.

Zestawienie liczbowe najczęstszych schorzeń — ich procent i ilości udzielonych porad.

	Liczba		
	Osób	%	porad
Dyzenteria	136	12%	243
Schorzeń gościowych	102	9	155
Schorzeń dróg oddechowych bez gruźl.	79	7	121
Schorzeń narządu krążenia	26	2	36
Schorzeń przewodu pokarm. bez dyzenterii	106	9.4	157
Schorzeń oczu	91	8.1	201
Gruźlicy płuc i innych organów	45	3,9	152
Choroby skórne i weneryczne (w tym świerzbu 18, rzeżączka 5)	124	11	241
Urazy i schorzenia pourazowe	124	11	291
Schorzenia gardła i ucha	61	5,4	85
Choroby zakaźne prócz gruźlicy i dyzenterii	23	2	38
Choroby kobiece	23	2	23
Choroby nerwowe	27	2.4	36
Kołtun i wszawica	36	3,2	47
Schorzenia dróg moczowych	19	1,7	27
Inne choroby	111	2,9	196
Razem	1131	100%	2049

W tym czasie zrobiono **450 zastrzyków**, z czego 85 dożylnych, 173 dom. i 192 podskórnych. Wyjazdów do chorych było **34**, podczas których udzielono pomocy i porad **176 chorym.**

Zestawienie liczbowe co do wieku chorych:

Działalność Ambulatorium, jak zaznaczyłem wyżej, rozpoczęła się od pierwszego dnia naszego przybycia. Łatwą ona nie była, gdyż na każdym kroku spotykały nas najrozmaitsze trudności, które trzeba było pokonywać z wielkim nakładem energii i czasu.

Pokój ambulatoryjny, wprawdzie pięknie wytynkowany, ale jeszcze nie wysechł — wilgoć psuła nam leki, narzędzia, a nie po-

W wieku		Liczba	
od	do	%	osób
—	5	16.6%	186
5	16	16,8	188
15	20	12,5	140
20	30	16.3	200
30	50	21.9	248
50	—	14,9	169
	Razem	100%	1131

wiem żeby i na nasze samopoczucie dodatnio wpływała. Przenieśliśmy przeto po pewnym czasie Ambulatorium do większego, wygodniejszego pokoju. Pomoc lekarska bezpośrednia uległa też zahamowaniu z powodu braku najniezbędniejszych leków i opatrunków. Przecież zgłaszający się do Ambulatorium, to w małym procencie zamożni gospodarze, a reszta to biedni poleszucy mieszkańcy okolicznych wsi, położonych w promieniu od 1—40 km. Trzeba im udzielić porady, pomocy, dać leki, zrobić opatrunek — wszystko bezpłatnie. Kiedy więc wyczerpały się nasze skromne zasoby, zaczęliśmy „dzwonić na alarm". Tymczasem sprowadziliśmy leki za pieniądze własne, Obozu i przynajmniej częściowo ściągaliśmy należność za nie z chorych. Czekaliśmy tydzień, a nieraz i więcej, zanim przysłano nam je z aptek, gdyż do najbliższej jest 35 km., a do Pińska 87 km. Po długim czekaniu, przyszła na nasze wołania odpowiedź w postaci skrzyni leków od Zarządu Głównego T. R. Z. W. i od Firm Farmaceutycznych. O wiele łatwięc i wydatniej potoczyła się praca.

Firmom Farmaceutycznym: „Wende", „Motor", „Spiess", „Gąsecki", „Nasierowski" i „Klawe" składamy w imieniu poleszuków i medyków gorące podziękowanie, **bowiem wiele radości na wieś poleską wniosły** Ich naprawdę nadzwyczaj wartościowe preparaty.

Spodziewamy się, że w przyszłości Ambulatorium odpowiednio wyposażone zostanie, by mogło skutecznie nieść pomoc poleszukom.

Bardzo piękną rolę spełnia na Polesiu Obóz Społeczny w Młynku n/Styrem, i wierzymy, że praca ta prowadzona wyda owoce, na jakie czekamy.

Prośby Poleszuków, byśmy na Majdanie na stałe zostali, są najlepszym dowodem, żeśmy nie żałowali wysiłku i że spełniliśmy włożone na nas obowiązki.

Kierownik Ambulatorium
(—) Leontiusz Makarewicz

T A R A K A Ń C E

Mgr. R. B.

Czego najbardziej potrzeba Ziemiom Wschodnim?

Potrzeby Ziem Wschodnich były niejednokrotnie omawiane w sposób obszerny i bodaj wyczerpujący. Wskazywano i wskazuje się ciągle na niski stan gospodarczy tych połaci kraju. Wymienia się tysiące brakujących szkół, dziesiątki tysięcy dzieci, które powinny, a nie mogą się uczyć; mówi się często i chętnie o złych drogach, o niedostatecznie gęstej sieci kolejowej, o braku przemysłu, on iskim poziomie handlu. Podkreśla się nie rozwiązane i nieuregulowane problemy społeczne, groźne przejawy walki narodowościowej itp. itp. Wszystko to daje mniej lub więcej wyrazisty obraz „rzeczywistej rzeczywistości" na naszych Ziemiach Wschodnich.

Obraz ten jest niekiedy niedocieniowany, innym razem przejaskrawiony — w każdym jednak wypadku przedstawia stan czegoś zaniedbanego, oczekującego na zorganizowaną, twórczą pracę.

Na tle obrazu, przedstawiającego współczesny stan życia na Ziemiach Wschodnich wypowiadają się wszyscy za koniecznością dokonania daleko idących przemian, przeprowadzenia gruntownych reform. Podkreśla się kontrast, między tym, co być winno, a tym, co jest, między Polską A, a Polską B. Rozważania idą często w kierunku badania możliwości rozwojowych Ziem Wschodnich. Istnieją one w każdej dziedzinie. W dziale rolnictwa — kwestia melioracji, komasacji, reformy rolnej, spółdzielczości i oświaty rolniczej. W dziedzinie przemysłu i handlu — zagadnienie tworzenia nowych, ciągle jeszcze nielicznych polskich placówek wyposażonych w odpowiednie środki finansowe, kwestia tworzenia, jeśli nie pewnych okręgów większego przemysłu, to w każdym razie rozbudowy przemysłu rolnego, leśnego i innego przetwórczego. W dziedzinie oświaty i kultury — sprawa upodobnienia Ziem Wschodnich do reszty kraju. Wreszcie w dziedzinie wychowania obywatelskiego — przepojenia ludności tych obszarów pełnym i bezkompromisowym patriotyzmem.

To są dwa, powszechne w społeczeństwie, całkowicie zresztą zrozumiałe aspekty zagadnienia Ziem Wschodnich: stwierdzenie stanu dzisiejszego i zobrazowanie przedmiotu dążeń, kierunku

zmian i reform. Są to założenia bezsporne z punktu widzenia naszej racji państwowej: nikt bowiem nie uważa stanu Ziem Wschodnich za zadawalający, nikt nie neguje potrzeby podniesienia wzwyż całokształtu życia na tych obszarach.

Punkt ciężkości problemu Ziem Wschodnich w dobie obecnej nie spoczywa już na uzasadnianiu i propagowaniu potrzeb Ziem Wschodnich. Nie chodzi już obecnie o wykazywanie w tym stopniu — co dawniej — dysproporcji między stanem rzeczywistym a możliwościami, jakie przedstawiają te ziemie. Chodzi o rzecz istotną — o stworzenie siły, któraby była zdolna zrealizować program podniesienia Ziem Wschodnich, wypełnić przepaść, dzielącą niezadawalający stan dnia dzisiejszego od dużych możliwości i widoków rozwojowych w przyszłości.

Wychodzimy z założenia, że jedynie człowiek jest siłą, która zdolna jest wprowadzać zmiany wstawającej rzeczywistości. Tylko on zarówno indywidualną twórczością, jak i zbiorowym wysiłkiem dokonać może wielkiego dzieła: **środki i metody działania zawsze się znajdą, gdy znajdą się odpowiedni ludzie.**

Podniesienie Ziem Wschodnich i wzmocnienie polskości tych obszarów są dziełem zbiorowym, jakiego dokonać może tylko praca kilku pokoleń. Tam w życiu gospodarczym i kulturalnym, gdzie wszystkie procesy z natury rzeczy są długotrwałe, jak i na odcinku narodowościowym, gdzie ciągle jeszcze na Ziemiach Wschodnich świadomość i poczucie przynależności narodowej są w stadium kształtowania się — przewrotu w dotychczasowych stosunkach do-

konać może tylko zbiorowy wysiłek całej generacji polskiej, wchodzącej w życie. Jak poprzednio przez szereg pokoleń zbiorowe życie polskie absorbowały walki o Niepodległość, jak w ostatnich dwóch dziesiątkach lat wysiłki iść musiały przede wszystkim w kierunku organizowania państwowości polskiej — tak obecnie naczelnym zadaniem staje się podniesienie wzwyż życia polskiego na wszystkich odcinkach, a przede wszystkim tam, gdzie stoi ono najniżej. Od tego, jakie w ramach tych prac, w hierarchii zainteresowań i wysiłków młodego pokolenia zajmie problem Ziem Wschodnich, w jakim stopniu teren ten stanowić będzie przedmiot twórczego wyładowania sił generacji wchodzącej dziś w życie — zależeć będzie w najbliższej przyszłości tempo rozwoju Ziem Wschodnich.

JERZY PERL

Akcja społeczno-lekarska na obozie akademickim w Tarakańcach

Potrzeba pracy społecznej na wsi kresowej była oddawna zagadnieniem nie podlegającym dyskusji. Niestety jednak realizacja tej pracy napotykała na nieprzezwyciężone trudności. Poprostu brak było społecznego nastawienia wśród większości młodzieży. Część jej jednak, nie poprzestając na głoszeniu haseł pracy dla wsi, dążyła konsekwentnie do ich realizacji. Polem pracy tej młodzieży, zgrupowanej w Akademnickiej Pomocy Koleżeńskiej Polskiej Młodzieży Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego „S p ó j n i a" stała się wieś wileńska Tarakańce, gdzie grupa medyków rozwinęła swą akcję połeczno-lekarską. Plan pracy przez nią opracowany i przygotowany został całkowicie wykonany, dając piękne rezultaty i prawdziwe zadowolenie organizatorom.

Rozumiejąc dobrze konieczność podniesienia stanu zdrowotnego wsi, nie należy zapominać, że akcja uświadamiająca rozwijać się może tylko na płaszczyźnie udzielanej równolegle pomocy lekarskiej.

Mając to na uwadze, opracowaliśmy plan pracy, który przewidywał:

1. zorganizowanie i prowadzenie przychodni lekarskiej wraz z apteczką;

2. organizowanie 2-3 razy w tygodniu pogadanek dla wsi okolicznych ilustrowanych przeźroczami;

3. rozdawnictwo ulotek i broszur propagandowo-higienicznych.

Praca przygotowawcza rozpoczęła się w Warszawie: listy, podania, konferencje, delegacje... Trwało to wszystko stosunkowo krótko. Plon był wystarczający, nawet obfity. Dzięki nadzwyczaj przychylnemu stosunkowi i społecznemu nastawieniu wielu firm i organizacji zaopatrzeni zostaliśmy we wszelkie potrzebne nam lekarstwa i narzędzia chirugiczne: P. C. K. dostarczył nam środków opatrunkowych, P. Z. H., T-wo Higieniczne, T-wo Pediatryczne dostarczyło wszelkie potrzebne afisze i ulotki, zaś z Wojskowego Instytutu Naukowo-Oświatowego otrzymaliśmy lampę projekcyjną, akumulator oraz filmy propagandowo-higieniczne.

Tak wyposażeni z zapałem zabraliśmy się do pracy w Tarkańcach. Już pierwsze dni zapał nasz spotęgowały w dwójnasób.

Nasza „Przychodnia Lekarska" mieściła się w dużej izbie chłopskiej.

W ciągu dwu godzin zmieniliśmy jej wygląd do niepoznania. Zjawiły się półki, oblepione czystym, białym papierem, obstawione lekarstwami, umywalnia, sterylizatory, afisze na ścianach, głoszące że „czystość to zdrowie" lub „my żądamy słońca, powietrza, czystych pieluch i piersi matek" — wołały z afisza niemowlęta na swym wiecu i. t. p. Wejście do Przychodni ozdobił duży napis oraz dwa ogromne, wielobarwne afisze, przedstawiające wzorowe i wadliwe gospodarstwo wiejskie.

Już na trzeci dzień ilość naszych pacjentów sięgała trzydziestki w ciągu jednego dnia. Przyjęcia odbywały się po południu i trwały nie raz do późnego wieczora.

W pracy naszej specjalną opieką otoczyliśmy chorych na gruźlicę oraz dzieci. Każdy z pacjentów obok pomocy lekarskiej i porady otrzymywał cały szereg ulotek. Tak więc gruźlicy otrzymywali ulotki, traktujące o walce, zapobieganiu i leczeniu gruźlicy, matki — o pielęgnowaniu, karmieniu i wychowaniu dzieci, ciężarne — o zachowywaniu się w czasie ciąży, i t. p.

Wieść o nas szeroko rozniosła się po okolicy. Przyjeżdżali do „Przychodni" nie raz z odległości 30-tu kilometrów. Nie było chyba cierpienia, z którymby się do nas nie zwracano. Bilans naszej 5-cio tygodniowej pracy był imponujący — 769 wizyt lekarskich, 18 zabiegów chirugicznych, kilkanaście wyrwanych zębów, rany, ropnie, choroby serca, kiszek, nerwów i gruźlica, gruźlica, gruźlica... Straszne spustoszenie sieje gruźlica na wsi i to szczególnie wśród najbiedniejszych. Chorują całymi rodzinami. Różnymi sposobami próbowaliśmy przeciwdziałać tej pladze społecznej. Prócz porad i wskazówek w ambulatorium, prócz ulotek i pogadanek specjalnych wielu chorym porozdzielaliśmy spluwaczki. Oczywiście mimo na-

szych wysiłków i najlepszej woli mogliśmy się spodziewać, że nie wszystkie spluwaczki zostaną należycie wykorzystane. Zdarzyło się bowiem raz, że na proszonym obiedzie u zamożniejszego chłopa podano nam kompot w... nocnym naczyniu. Speszyło nas to trochę, jednak jeden z nas tylko wymówił się brakiem apetytu.

Wzywano nas też nieraz do chorych na wieś. Zdarzały się i ciekawsze przypadki: malaria, zatrucie trychninami. To dopiero była satysfakcja, kiedy przychodzili po pewnym czasie dziękować za wyleczenie...

Ogromną frekwencją cieszyły się nasze pogadanki z przezroczami. Odbywały się one w świetlicy 3 razy tygodniowo. Za ekran

Tarakańce — Poradnia lekarska

służyło prześcieradło, okna zakrywaliśmy kocami. Ilość słuchaczów stale się zwiększała: od 40 na pierwszej pogadance do ok. 100 na następnych, z których niestety część nie mogła się pomieścić. Treść pogadanek oraz filmy wzbudzały wśród słuchaczów ogromne zainteresowanie. Obejmowały one różne dziedziny, niektóre z nich powtarzane były na specjalne żądanie po kilka razy.

Oto ich spis:

1. Higiena osobista, mieszkania i zagrody.
2. Przyczyny chorób i walka z nimi.
3. O zdrowym pożywieniu.
4. O chorobach wenerycznych (oddzielnie dla mężcz. i kob).
5. O skutkach i szkodliwości sztucznych poronień (dla kob.)

6. Odżywianie i pielęgnowanie niemowląt (dla kob.).
7. Walka zgruźlicą.
8. Higiena w szkole. (dla dzieci).
9. O chorobach zakaźnych.
10. O zapobieganiu chorobom.
11. Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach.
12. Apteczka podręczna.

Dwie ostatnie, wygłoszone były w ramach kursu samarytańskiego.

Prócz powyższych pogadanek koleżanki opowiedziały jeszcze dzieciom kilka bajek, również ilustrowanych przeźroczami. Wiele było z tego powodu radości i dziecięcego śmiechu... Przychodziły dzieci nawet ze wsi sąsiednich, a głównie z dziecińca, prowadzonego przez freblankę, z ramienia Akademickiej Pomocy Koleżeńskiej Polskiej Macierzy U. J. P. „Spójnia". Do nas należała opieka nad zdrowiem małych obywateli. Najwięcej pracy w dziecińcu mieliś-

Tarakańce — Dzieci z półkolonii

my z tępieniem wszawicy. Udało nam się jednak opanować ją całkowicie.

Dzieci było w dziecińcu około 40-ioro. Już przy badaniu wstępnym wykryliśmy prócz gnid bardzo duży procent krzywicy, którą zwalczaliśmy preparatami witaminy „D" z naszej apteczki, oraz kilkoro dzieci kiłowych. Jakże przyjemnie było nieraz patrzeć na radosne, roześmiane twarzyczki dzieci, bawiących się w „piłkę do dołka", nie wiedzących na szczęście nic o swoich chorobach...

Praca nasza dobiegała już końca, kiedy powstała wśród nas myśl zorganizowania kursu samarytańskiego, wybrania 15-tu najlepiej przeszkolonych sanitariuszy z pośród młodzieży wiejskiej i pozostawienie pod ich opieką dobrze wyposażonej apteczki w miejscowej spółdzielni. Owym 15-tu wybranym postanowiliśmy ufundować nagrody i wydać odpowiednie zaświadczenia.

Przygotowania rozpoczęliśmy od zakupienia nagród z funduszów ambulatoryjnych. Na nagrodę składała się paczka, zawierająca mydło, grzebień, grzebień gęsty, proszek i szczotkę do zębów, szczotkę do rąk, lusterko i kubek.

Na kurs zapisało się 76 osób, w tym 40 kobiet i 36 mężczyzn. Kurs był trzydniowy i składał się z trzech wykładów, które rozdzieliliśmy między siebie oraz z praktyki w ambulatorium. Wykłady obejmowały następujące tematy:

1. O zapobieganiu chorobom.
2. Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach.
3. Apteczka podręczna.

Filmy ilustrujące, w jakie byliśmy zaopatrzeni, znakomicie ułatwiły nam zadanie. Wykłady z demonstracjami zajęły nam około 8 godzin.

W celu wybrania owych 15-tu najlepszych urządziliśmy na zakończenie egzamin, który sprawił nam bardzo miłą niespodziankę, wykazując ogólnie wysoki poziom u uczestników kursu. Wybór jednak nie sprawił nam większych trudności. Wszyscy „sanitariusze" a w szczególności wybrany przez nich kierownik otrzymali polecenie wywieszenia na chacie, w której mieszkają, tablicy z czerwonym krzyżem, mając obowiązek udzielić pomocy każdemu zgłaszającemu się, rozporządzając apteczką, oddaną przez nas do dyspozycji naszych „absolwentów".

Na drugi dzień odbyło się rozdanie nagród i zaświadczeń, które zbiegło się z miejscową uroczystością poświęcenia Spółdzielni oraz dożynek. Wiele przyjemnych i podniosłych momentów miała ta uroczystość. Rozdania nagród i zaświadczeń „sanitariuszom" dokonał wójt miejscowej gminy, zaś wszyscy uczestnicy kursu otrzymali po symbolicznym „kawałku mydła".

„Wierzymy" — mówił na zakończenie przedstawiciel medyków, zwracając się do sanitariuszów — „że pracę, którą rozpoczęliśmy wśród Was, prowadzić będziecie w dalszym ciągu Wy sami, świecąc przykładem dla wsi okolicznych. Wierzymy, że dzięki Waszym wysiłkom zastaniemy tu na przyszły rok duże zmiany na lepsze i dużo mniej chorób".

Z tą wiarą opuszczaliśmy naszą placówkę w Tarakańcach, wynosząc z niej jak najmilsze wspomnienia i poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

Obozy Społeczno-Wychowawcze Akademickiej Pomocy Koleżeńskiej P. M. U. J. P. „S p ó j n i a".

Akademickie Obozy Społeczno - Wychowawcze nie są już dla nas nowością. Datują się one wprawdzie od niedawna, bo 2—3 lat, już dziś jednak mogą poszczycić się poważnym dorobkiem. Zrozumienie zaś potrzeby tego rodzaju Obozów zatacza coraz to większe kręgi, czego dowodem jest powstanie z inicjatywy Towarzystwa Rozwoju Ziem Wschodnich specjalnego „Komitetu dla Spraw Obozów Społecznych Młodzieży". Ujednostajnienie obozów tego typu i ścisły między nimi związek ułatwi pracę społeczną na naszych Ziemiach Wschodnich i sprawi, że wyniki jej będą wydatniejsze.

Warto przejrzeć działalność Obozów Społecznych w ciągu ubiegłych wakacyj, by tymbardziej zdać sobie sprawę z ich potrzeby i konieczności.

Akademicka Pomoc Koleżeńska Polskiej Młodzieży Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego — „S p ó j n i a" (dawniej Akademicka Bratnia Pomoc) wzorem lat ubiegłych i w tym roku zorganizowała Obóz Społeczno-Wychowawczy w Tarakańcach i Nowych Trokach na Wileńszczyźnie. Obozy tego typu cieszą się coraz większą popularnością wśród młodzieży akademickiej, która wykazuje coraz większe zainteresowanie sprawami Ziem Wschodnich. I tak, gdy przed trzema laty ilość osób na pierwszym tego rodzaju obozie była niewiele ponad 20, to w roku następnym liczba ta dochodziła do 50, by w roku ostatnim osiągnąć imponującą wprost liczbę ponad 150 osób.

W okresie tegorocznych ubiegłych miesięcy wakacyjnych członkowie Obozu Społeczno-Wychowawczego Akademickiej Pomocy Koleżeńskiej P. M. U. J. P. - „Spójnia", który już trzeci rok z rzędu był zorganizowany w Tarakańcach kontynuowali wszelkie prace rozpoczęte w latach ubiegłych, aby ugruntować to wszystko, co dotychczas zrobiono.

Zabrano się ochoczo do pracy. Zorganizowano dzieciniec-przedszkole, w którym dziatwa pod fachową opieką specjalnej wychowawczyni i studentek mile spędza czas, uczy się pieśni i wierszyków. Od godziny 9 do 17 przebywają dzieci w przedszkolu, gdzie są też obficie dożywiane

Główny nacisk położono na podniesienie wsi do pewnego poziomu zdrowotnego. Tu studenci-medycy, członkowie Akademickiej Pomocy Koleżeńskiej P. M. U. J. P. - „Spójnia" mieli pole do po-

pisu. Założono ambulatorium dla przychodzących chorych, gdzie w ciągu tylko 6-tygodniowej pracy opatrzono ponad 800 chorych, rozdano leków bezpłatnie lub za niewielką opłatą (około 1/5—1/20 właściwej ceny) za około 1 500 złotych, wygłoszono szereg pogadanek z przeźroczami na tematy chorób zakaźnych, higieny itp., przy średniej frekwencji ponad 60 osób. Aby utrwalić wyniki i pracy tej nadać pewną ciągłość zorganizowano „Kurs pomocy w nagłych wypadkach", który przesłuchało około 70 osób z 5 najbliżej położonych wsi. Z pośród kursantów wybrano 15 osób najbardziej zdolnych, które odbyły praktykę w ambulatorium Obozowem. Wyjeżdżając, zostawiono pod ich opieką podręczną apteczkę z najbardziej potrzebnymi lekami. Duży nacisk położono także na ogólny, higieniczny wygląd zagród i wsi. Częste rozmowy poszczególnych obozowiczów i „panów dochtorów" z wieśniakami na tematy związane z higieną sprawiły, że zabudowania gospodarskie z dnia na dzień zyskiwały na czystości. Wszystkie studnie na wsi są dziś ocembrowane i posiadają daszki dla zabezpieczenia wody przed zanieczyszczeniami z zewnątrz. Nadto zorganizowano konkurs czystości domów mieszkalnych i budynków gospodarskich z nagrodami w postaci mydła, grzebieni, szczotek i proszku do zębów i t. p. Na zaproszenie K. O. P. w Ornianach zorganizowano tam „Kurs ratownictwa" dla tamtejszej ludności oraz udzielono szereg porad.

Znana jest bieda chłopa kresowego, to też nie może on sobie pozwolić na poradę prawną u fachowca, radzi sobie najczęściej sam, ale rzadko ta rada wychodzi mu na dobre. W tej dziedzinie studenci prawa udzielali wszelkich rad i wskazówek. Nadto, na szeregu pogadankach starano się bardziej jeszcze zespolić chłopa wileńskiego z jego ojcowizną, by ją jeszcze bardziej pokochał, by się czuł na niej dobrze. Mówiąc o prawach i obowiązkach obywatela, potrzebach Państwa, o samorządzie i t. p. starano się wzbudzić zainteresowanie mieszkańców sprawami, które dotąd były im obce. Starano się, by chłop z Wileńszczyzny stał się naprawdę pełnowartościowym obywatelem.

Obóz spełniał i zadania kulturalno - oświatowe. Wieczorem w każdą niedzielę zbierały się tłumy miejscowej ludności z okolicznych wsi przy ognisku, które rozpalano na skraju lasu, u stóp którego rozpościerało się jezioro. Przy strzelających w górę płomieniach płynęły pieśni, śpiewane naprzemian przez obozowiczów i ludność miejscową, odżywały wspomnienia, myśli wybiegały w dal na spotkanie innym, lepszym czasom. Pogadanka o dawnych naszych dziejach, tańce przeplatane śpiewami kończyły cichy niedzielny wieczór z pragnieniem spotkania się znów za tydzień przy „Ognisku".

Aby uchronić od zagłady stare zwyczaje i obyczaje, które żyją

już tylko we wspomnieniach najstarszych ludzi, zorganizowano uroczyste dożynki. Wygrzebane z pamięci babek i dziadków stare dożynkowe pieśni ujrzały światło dzienne. Z pieśnią na ustach kroczył przez wieś barwny korowód ludzi; na przedzie przodownica z wieńcem — widok, którego tylko najstarsi mogą doszukać się w swej pamięci. Wójt — gospodarz gminy przyjmuje wieniec, poczem następuje wspólny skromny posiłek „czem chata bogata". Uroczystość tę połączono z poświęceniem własnego domu w ubiegłym roku założonej Spółdzielni. Mile spędzony czas, pogodny nastrój, chóralne śpiewy, inscenizacja kilku wierszyków, wykonana przez dzieci z przedszkola — zakończyły tę uroczystość, która w sercach zarówno mieszkańców jak i obozowiczów pozostawiła niezatarte wspomnienia.

Na drugim Obozie w Nowych Trokach też nie próżnowano. Tu pracowano przy konserwacji zamku Witoldowego na wyspie, gdzie odkopano basztę północną. Nadto zarówno studentki, jak i studenci wydatnie pomagali przy segregowaniu wykopalisk, ich oczyszczaniu i konserwowaniu. Część uczestników tego Obozu pracowała przy szalowaniu Szkoły Powszechnej — jednej ze stu szkół im. Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Jeśli dodać do tego piękne położenie, bliskość jezior i lasów, wycieczki kajakami aż pod samą granicę litewską, spływy kajakowe do Wilna oraz wycieczki piesze — to można stwierdzić, że Obozy Społeczno - Wychowawcze Akademickiej Pomocy Koleżeńskiej P. M. U. J. P. - „Spójnia" dały uczestnikom pełnię zadowolenia.

Już z tego pobieżnego szkicu widać, że grupa osób, chcąca pracodać, może wiele dokonać! Oczywiście, że młodzież akademicka poza pracą nic z siebie więcej dać nie może, a to nie zawsze wystarcza. Do pracy tej potrzebne są jeszcze narzędzia w postaci lekarstw, bandaży, narzędzi chirurgicznych, środków propagandowych, wreszcie pieniędzy na własne utrzymanie it.d. it.d. — tego wszystkiego jednak dostarczy społeczeństwo, zawsze do wszelkich ofiar gotowe, oraz wszyscy ci, którym rozwój naszego kraju nie jest rzeczą obojętną.

Zestawienie wpływów i wydatków

z Obozów Społeczno-Wychowawczych Akademickiej Pomocy Koleżeńskiej „S p ó j n i a"

(Tarakańce i Nowe Troki — na Wileńszczyźnie).

Myślę, że najlepszą podzięką dla tych wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób przyszli z pomocą młodzieży akademickiej przy

organizowaniu Obozów Społeczno - Wychowawczych będzie tej młodzieży zapewnienie, że poznawszy istotne potrzeby naszych Ziem Wschodnich nie spocznie ona dopóty, dopóki nie zniknie podział na Polskę A i Polskę B, na Polskę sytych i Polskę głodnych!

WPŁYWY

I. Subsydia			
Uniwersytet Józefa Piłsudskiego	zł.	300.—	
Min. Wyznań Religijnych i Oświec. Publicz.	„	1.500.—	
Min. Spraw Wojskowych (za pośr. P.U.W.F.)	„	1.500.—	
Min. Spraw Zagranicznych	„	500.—	
Ministerstwo Skarbu	„	300.—	
Ministerstwo Rolnictwa	„	300.—	
Wojewódzki Komitet T. P. M. A.	„	1.000.—	
Fundusz Pracy	„	700.—	
Gen. Krzemiński, Prezes N. I. K. P.	„	100.—	
Marsz. A. Prystor	„	100.—	
Wojewódzki Komitet Pom. Dzieciom i Młodzieży w Wilnie	„	200.—	
Prez. Jan Piłsudski	„	30.—	
H. Herman	„	50.—	
F-ma Polskie Zakł. Optyczne, S. A. w W-wie	„	100.—	
F-ma „Majde i S-ka"	„	20.—	zł. 6.500.—
II. Wpłaty uczestników Obozu			„ 2.122.15
III. Fundusze własne „Akadem. Pomocy Koleżeńskiej P.M.U.J.P. - „Spójnia"			„ 372,54
		Razem	zł. 9.194.69

ROZCHODY

Aprowizacja	zł.	6.386.83
Przejazdy koleją członków Obozu i Kierownictwa	„	481.70
Opał i światło	„	237.20
Komorne	„	313.—
Służba	„	357.50
Wycieczki	„	231.66
Ambulatorium	„	74.20
Dzieciniec (pensja kierowniczki i inne, bez wyżywienia)	„	123.96
Kancelaria	„	10.85
Furmanki (przejazdy od i do kolei i inne)	„	328.30
Inwestycje	„	179.80
Różne	„	352.36
Utrzymanie sprzętów	„	117.43
Razem	zł.	9.194.69

TROKI—WILEJKA

ZENON WRÓBLEWSKI

Dzień powszedni obozu w Trokach

Godz. 5.45 rano. Idziemy od stacji autobusowej drogą na Karaimszczyznę (przedmieście Trok), gdzie ma znajdować się Akademicki Obóz Społeczno-Wychowawczy. Choć słońce już wysoko ale zimny wietrzyk przenika przez letnie ubrania. Po obu stronach drogi stoją małe domki, przed nimi umorusane dzieci Karaimów. Mijamy kienesę (świątynię karaimów), przechodzimy między jeziorem Galwe a Tarakiszkami i oto zdala już widać biało-czerwoną chorągiew, która powiewa nad jedną z kwater obozu. Obóz znajduje się na wzgórzu, na terenie dawnych koszar K. O. P'u, w odległości 200 m. od jeziora. W kwaterze żeńskiej, znajdującej się nieco niżej, jeszcze śpią. Przed kwaterą męską spotykamy dyżurnego obozu. Wchodzimy do środka. Nad drzwiami tablica z napisem: „Obóz Społeczno-wypoczynkowy Akademickiej Pomocy Koleżeńskiej Polskiej Młodzieży Uniw. J. Piłsudskiego „Spójnia". Na prawo drzwi do jadalni i zarazem świetlicy, na wprost wejście do pokoju kierownictwa, na lewo właściwa kwatera. W tejże niemal chwili ostry głos dzwonka i wołanie dyżurnego budzą smacznie śpiących uczestników obozu. Jedni wstają odrazu, drudzy, którzy wczoraj dłużej gdzieś zabawili, leniwie się przeciągają; za pięć minut jednak wszyscy są na nogach.

Jest godz. 6.10. Wychodzimy przed kwaterę. Kilka osób myje się, inni biegną kąpać się do jeziora. Ci są najlepiej wygrani, bo za kilka minut przychodzą całkiem zmienieni. Zimne fale jeziora wspaniale wpływają na zmęczenie i rozespanie. Skok do wody, 50 m. popłynąć od brzegu i z powrotem a odrazu mija rozleniwienie. Lecz oto słyszymy znowu dzwonek. Sygnał ten oznacza czas posiłku. Wchodzimy do jadalni. Przy stole dopiero kilka osób. Ten, kto przychodzi później jest przegrany, bo pozostaje mu mniej czasu na spożycie smakowitych przysmaków. Punktualnie o 6.50 pierwsza grupa kolegów opuszcza obóz, udając się łódką na wyspę, gdzie wznoszą się mury starożytnego zamku trockiego, przy konserwacji którego pracują obozowicze. Reszta przygotowuje się do wymarszu na teren szkoły powszechnej, znajdującej się po drugiej stronie miasta, gdzie pracują przy niwelacji terenu i pomaga-

ją przy jej budowie. Za 10 minut i tych niema w obozie. Pozostaje jedynie gospodyni, dyżurni oraz dwie koleżanki, które dopiero na godz. 8 udają się do pracy na teren muzeum zamkowego. W czasie niecałej godziny odbywają się generalne porządki na terenie całego obozu, a potem dwuch dyżurnych wraz z gospodynią udają się do miasta celem poczynienia zakupów. Korzystając z wolnego czasu udajemy się na tereny pracy, aby zobaczyć jak ona wygląda w zetknięciu się z rzeczywistością, a nie w szumnych słowach. Aby dostać się z Karaimszczyzny do szkoły powszechnej im. Marszałka Piłsudskiego należy przejść przez całe Troki. Po półgodzinnej wędrówce znajdujemy się na terenie szkoły. Koledzy i Koleżanki pracują obecnie przy niwelacji gruntu, wyrównując teren pod boisko szkolne. Poprzednio pracowano przy szalowaniu szkoły. Była to robota dużo lżejsza. Ta jest ciężka, szczególnie jak na koleżanki. Pot obficie zrasza czoła, mimo, że wszyscy pracują w kostiumach. Własnym pomysłem zorganizowano sobie pracę. Załoga każdej taczki składa się z 2 koleżanek i 2 kolegów. Dwie koleżanki i jeden kolega ładują taczki, drugi wywozi ziemię. Ciężka to praca ze względu na trudność jej kopania z powodu kamieni, żwiru i materiału budowlanego, pozostałego przy wznoszeniu szkoły.

Odchodzimy, by zwiedzić budynek. Szkoła im. Marsz. J. Piłsudskiego jest jedną ze 100 szkół, budowanych w zeszłym roku na Wileńszczyźnie. Posiada szereg obszernych sal, gabinety ćwiczeń, obszerną salę gimnastyczną wraz z nowoczesnym wyposażeniem w przęt sportowy.

Po zwiedzeniu zastajemy naszych pracowników, spożywających smaczny posiłek, dostarczony im przez dyżurnych obozu. Taki posiłek dostają koledzy przy zamku. Żegnamy pracowników, życząc im owocnej pracy i udajemy się łódką na wyspę zamkową.

Jezioro Galwe jest jedym z największych na Wileńszczyźnie. Uroku dodają mu malowniczo rozsiane wyspy. Na jednej z nich wznosi się starożytny zamek trocki. Po przeciwległym brzegu jeziora widać zdaleka olbrzymi pałac hr. Tyszkiewicza. Dobijamy do wyspy zamkowej od strony baszty, przy której pracują obozowicze. Widzimy kilka schylonych postaci, odkopujących narożną basztę. Praca tu jest też ciężka. Nieraz nad wykopaniem jednego kamienia mozolono się pół dnia. Szczególnie początki były trudne. Obecnie prawie cała baszta jest odkopana. Praca polega na tym, że część kolegów odkopuje basztę, reszta zaś wywozi ziemię taczkami.

Udajemy się na zwiedzanie zamku. Zamek ten, zbudowany w końcu XIII w., jednakże według legendy miał być założony jeszcze przez Giedymina, który więził tu swoją ukochaną, porwa-

ną z klasztoru. Zamek połączony był mostem zwodzonym z lądem stałym. W XIX w. został zniszczony przez Rosjan. Obecnie już od kilku lat pracuje się nad restauracją tego zamku. Przez bramę wjazdową wchodzimy na dziedziniec zamkowy. Niestety, zamek jest tak zniszczony, że nie możemy dojrzeć śladów dawnej wspaniałości, jedynie wewnątrz zamku w niektórych komnatach spostrzec można ślady dawnych malowideł, fresków i t. p. Wchodzimy stromymi schodami na basztę. Z jej wierzchołku roztacza się wspaniały widok na jeziora trockie. Możnaby stać tak cały dzień i patrzeć w niebiesko-szarą toń jeziora i zieloność otaczających je lasów.

Ruiny Zamku w Trokach

Schodzimy na dół i udajemy się do muzeum zamkowego. Coprawda niebardzo jest ono podobne do muzeum; maleńka szopa, wewnątrz niej pod ścianami półki zajęte przez znalezione w ziemi wykopaliska, pośrodku stół, zawalony skorupami, z których powstają talerze, wazy, czaszy i inne najrozmaitsze naczynia. Przed drzwiami „muzeum" pracują dwie koleżanki, które zajmują się oczyszczaniem wykopanych przedmiotów czy skorupek i pomagają przy ich klejeniu. Niektóre takie naczynia składają się z 40 albo i więcej kawałków i naprawdę należy podziwiać zdolność

tych ludzi, którzy z tych niekształtnych skorup, jakie tu się znajdują, potrafią złożyć przepiękne i zabytkowe przedmioty. Do najciekawszych rzeczy w muzeum, jakie do tego czasu znaleziono, należy mały, kieszonkowy zegarek słoneczny oraz przepiękna wielka waza.

Podziw nasz przerywa ostry sygnał, dla tutejszych robotników znak przerwy obiadowej, a dla naszych koleżanek i kolegów koniec pracy. Jest godzina 12, słońce piecze niemiłosiernie. Część koleżanek i kolegów wraca do obozu łódką, druga część szuka ochłody w chłodnej wodzie jeziora, płynąc do obozu. Odległość około 400 m., przebyta zostaje mimo zmęczenia pracą, przez niecałe 10 minut. Ci, którzy jechali łódką, dopiero przy brzegu wskakują do wody, to samo robią wracający z pracy przy szkole. Orzeźwieni zasiadają do obiadu. Część „robocza" dnia została zakończona, pozostaje druga część na przyjemności.

Tę drugą część spędza każdy dowolnie. Jedni, korzystając ze słońca, wygrzewają się bądź nad brzegami jeziora, bądź na licznych wyspach, drudzy wypuszczają się na wycieczki kajakami, inni korzystając z lekkiego wiatru podążają na żaglówki, jeszcze inni odpoczywają po sutym obiedzie, aby potem pograć w siatkówkę, są wreszcie i tacy „nieszczęśliwcy", którzy ze skupieniem i uwagą zagłębiają się w treść jakiejś książki: naukowej bądź beletrystycznej. W najrozmaitszy sposób uprzyjemniają sobie czas obozowicze aż do samego zmroku. Wieczorami jedni zbierają się przeważnie w świetlicy dla posłuchania radia, potańczenia czy wreszcie dla podyskutowania na najrozmaitsze tematy, inni zażywają wieczornego spaceru, do którego księżyc tak kusi swym blaskiem.

Późnym wieczorem z żalem opuszczamy Obóz, podążając ku stacji. Po drodze zastanawiamy się nad tym pocieszającym objawem, że są jednak ludzie, którzy potrafią pogodzić piękne z pożytecznem, którzy znajdując na obozie wypoczynek potrafią zrobić coś dla innych w szarej i żmudnej pracy dnia powszedniego.

KAROL ZALEWSKI

Karaimi w Polsce

Ze względu na kulturę i cywilizację zaliczamy Polskę do krajów Zachodnio-europejskich; jak przed wiekami jednak, tak i dziś jeszcze jest ona pomostem między Wschodem i Zachodem. Piętno wieków wywarło swój przemożny wpływ na najbardziej na wscód położone nasze ziemie, o czem świadczy choćby wielobar-

wna mozaika narodowościowa, jakiej nie znajdujemy chyba w żadnym innym zakątku ziemi.

Wprawdzie każde państwo ma swoje „kresy" — ziemie pograniczne, na których wre odwieczna walka wpływów między najbardziej nawet zaprzyjaźnionymi państwami — nasze jednak „kresy wschodnie" mają specyficzny charakter. Jak nazywa się Polskę przedmurzem chrześcijaństwa, bo u jej bram legła rozbita potęga Proroka Mahometa, takby można nazwać Polskę kresem wędrówki ludów orientalnych, które u jej bram porzuciły swe koczownicze namioty, zamieniając je na stałe osiedla. Nie wszystkie jednak ludy, których resztki spotykamy na Ziemiach Wschodnich, przypędziła tu chęć poszukiwania nowych, lepszych warunków

Pan Minister Kościałkowski w Trokach

bytu, albo też chęć podboju, czy rozboju. Część ich i to dość znaczna nawet, przybyła tu wbrew własnej woli, bo jako niewolnicy wojenni zostali tu sprowadzeni. Specjalnej kategorii byli to niewolnicy, skoro już po krótkim pobycie zostali obdarzeni nietylko wolnością, ale i przywilejami książąt i królów, to też choć zdala od swej pierwszej ojczyzny, o której nie zapomną nigdy, nie czują się źle na nowej ziemi, którą za swą drugą ojczyznę mają, i za którą przelewają obficie krew zawsze, gdy tego zajdzie potrzeba.

— o—

Wśród szeregu ludów wschodnich zwartą grupę tworzą Karaimi — pochodzenia tureckiego, którzy w Polsce tworzą dziś 4 po-

ważne skupiska, a mianowicie: Wileńskie, Trockie, Łuckie i Halickie.

Nazwa „Karaim", która oznacza zarówno narodowość jak i wyznanie, pochodzi od słowa „qara" — czytać, stąd też „Qor'an" — ś-ta księga Muzułmanów. Religia karaimska opiera się jedynie na Starym Testamencie bez żadnych uzupełnień, które istnieją np. u Żydów w postaci „Talmudu". Wbrew utartemu mniemaniu nie jest to żadna sekta żydowska, powstanie karaizmu sięga ponoć czasów Chrystusa, ostatecznie zaś ukształtował tę naukę Anan-ibn-Dawid, który żył za kalifatu Abu Dżafar al-Mansura z dynastii Abbasydów (754—775). Na rozwój nauki karaimskiej duży wpływ wywarł Islam, a szczególnie szkoła filozoficzno-dogmatyczna Muta-kallim'ów.

Główne ognisko karaizmu zostało z biegiem czasu przeniesione z Bagdadu do Jerozolimy, gdzie do dziś istnieje najstarsza świąty-

Duchowni Karaimscy

nia t. zw. „kienesa". Zasięg tej idei był tak wielki, że dotarła ona aż na półwysep Krymski, zdobywając w tamtejszej ludności tureckiej swoich wyznawców (wiek IX).

Co się tyczy pochodzenia t. zw. polsko-litewskich Karaimów, to zostali oni sprowadzeni przez Wielkiego Ks. Litewskiego Witolda, który w ten sposób przez osadnictwo chciał wzmocnić rubieże swych posiadłości przed napadami Krzyżaków.

W czasie jednej ze swych zwycięskich wypraw wojennych w roku 1396/7 dotarł Witold do Kafy (dziś Teodozja) i tam „wziął do niewoli wielmożów tatarskich i osiedlił w okolicach Trok mnóstwo

Tatarów ze Scytji". Wielu z tych jeńców było wyznania karaimskiego i zostali wraz z całym swym mieniem sprowadzeni na Litwę. Zbawienna myśl wzmocnienia pogranicza podyktowała Witoldowi stworzenie szeregu osad w kierunku z północy na południe, a mianowicie: Sałaty, Birże, Karaimiszki, Karaimię vienkiemis, Poswól, Puszałaty, Pompiany, Poniewież, N. Miasto, Upita, Krakimów, Św. Jezioro, Kiejdany, Szaty, Wiłkomierz, Kowno, Kronie, Nowe Troki.

Jedno z większych skupisk Karaimów to Nowe Troki, gdzie posiadali własne wójtostwo, które otrzymało z biegiem czasu szereg przywilejów.

Głównem zajęciem Karaimów było i jest obecnie rolnictwo, ogrodnictwo i warzywnictwo, gdzie na pierwszy plan wysuwa się uprawa ogórków. Nadto w dawnych czasach służyli oni wojskowo, tworząc nawet t. zw. „Chorągiew Karaimską"; byli także przez Wielkich Książąt Litewskich używani do swej przybocznej służby ochronnej, co świadczy o zaufaniu, jakie dla siebie zdobyli swą uczciwością i rzetelną pracą. Jeden z takich oddziałów był na służbie u książąt Radziwiłłów.

W ciągu pięciowiekowego zamieszkiwania w Polsce, Karaimi wydali szereg wybitnych uczonych, którzy kształcili się bądź w Akademii Wileńskiej bądź za granicą.

Obecnie główne ogniska życia karaimskiego znajdują się w Wilnie, gdzie mieszka Hachan, głowa Karaimskiego Związku Religijnego J. E. Hadży Seraja Chan Szapszał, wybitny orientalista (w skład Związku wchodzą 4 gminy: w Wilnie, Trokach, Łucku i Haliczu), oraz w Trokach, gdzie znajduje się Karaimski Zarząd Duchowny Rzplit. Polskiej. Życie kulturalne przejawia się w działalności Tow. Miłośników Historii i Literatury Karaimskiej w Wilnie, które od r. 1924 wydaje swój organ „Myśl Karaimska" pod redakcją prof. Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego — dr. A. Zajączkowskiego. W Łucku, dzięki niezmordowanej pracy p. Al. Mardkowicza, wychodzi w języku karaimskim czasopismo „Karaj Awazy" — Głos Karaimski.

Mimo dawna świetność, o czem świadczą najstarsze dokumenty przechowywane starannie w specjalnym skarbcu - szafie, darze Pana Prezydenta Rzplitej Prof. Dr. Ignacego Mościckiego, dziś karaimi stanowią kilkutysięczną grupę, która swą sumiennością i uczciwością zaskarbiła uznanie, o czem świadczy powierzanie im szeregu odpowiedzialnych stanowisk.

Rzecby można, że Polska jest ośrodkiem, skąd promieniują wpływy na Karaimów, mieszkających w Jerozolimie, Egipcie, Turcji, Mandżurii, Rosji, Rumunii, Estonii, Paryżu, na Łotwie i Litwie, czego widomem znakiem jest budowa jedynego na świecie Mu-

zeum Karaimskiego w Trokach, gdzie w sierpniu 1938 r. w obecności przedstawiciela M. W. R. i O. P. oraz miejscowych władz z Panem Wojewodą płk. Ludw. Bociańskim na czele J. E. Hachan Hadży Seraja Chan Szapszał dokonał poświęcenia i położenia kamienia węgielnego. Tu w przyszłości znajdą miejsce wszelkie klejnoty przechowywane w skarbcu w Trokach lub przez osoby prywatne.

Polska na przestrzeni swych dziejów dała schronienie wielu ludom, opiekowała się nimi, nie hamowała ich rozwoju a częstokroć nawet wspierała go, o czem świadczy dar Pana Prezydenta Prof. Mościckiego w postaci wspomnianego skarbca-szafy, który Karaimi uważają „za symbol nieprzerwanego ciągu opieki nad nimi: Polski dawniej — królewskiej i obecnej — republikańskiej".

Akademickie seminarium wakacyjne w Wilejce

W tym roku, do ogólnej liczby miejsc obozowych, przybyła jeszcze Wilejka Powiatowa, gdzie w miesiącu lipcu został zorganizowany przez miejscowe Koło T. R. Z. W. obóz, o charakterze seminaryjnym. Właśnie ten charakter seminaryjny odróżniał go od pozostałych obozów, które nastawione są na odcinkową pracę społeczną. Kierunek naukowy nadał p. prof. dr. L. Wł. Biegeleisen, który przybył tam na 10 dni z grupą studentów z Wolnej Wszechnicy Polskiej.

Uczestnicy rekrutowali się z dwóch uczelni: uniwersytetu St. Batorego i z W. W. P. Przeciętnie podczas seminarium było 20 osób. Pobyt był bezpłatny i zwrot kosztów podróży.

Ten obóz, który został przemianowany na „Akademickie Seminarium Wakacyjne", połączył w sobie dwa cele: wypoczynkowy i naukowy. Praca naukowa polegała na tym, iż każdy z uczestników obrał sobie jakieś zagadnienie, związane z jego zainteresowaniami i zbierał materiał do niego, przez nawiązanie kontaktu z miejscowymi instytucjami. Z pośród tematów przytoczę takie jak: „Struktura rolna w pow. wilejskim", „Działalność instytucji kredytowo - oszczędnościowych na terenie pow. wilejskiego", „Przestępczość w pow. wilejskim", „Stan dróg lądowych i wodnych w tymże powiecie", „Krajobraz wilejski i powiatu".

Dwa razy w tygodniu odbywały się wieczory dyskusyjne, na których bywali obecni: Prezes tamtejszego Koła p. ppułk. dypl. Janusz Gaładyk i p. starościna Halina Henszlowa.

W czasie trwania seminarium zostały zorganizowan trzy wy-

cieczki. Pierwsza: spływ kajakowy z Budsławia do Wilejki, druga do Tupalszczyzny, trzecia nad Narocz. Na zakończenie część uczestników spłynęła kajakami do Wilna.

W czasie seminarium nie obowiązywał żaden regulamin. Mogliśmy dowolnie wykorzystywać czas dla całkowitego wypoczynku. Na każdym kroku tylko dało się odczuć serdeczną troskliwość

miejscowego Koła T. R. Z. W. Przejawiało się to i w chęci uprzyjemnienia nam pobytu i dania maksymalnych możliwości wypoczynku. To też z pobytu w Wilejce wynieśliśmy wszyscy jaknajmilsze wspomnienia, a także i pewien dorobek naukowy. Życzyć sobie tylko należy, ażeby ta placówka rozwijała się dalej jaknajpomyślniej, wypuszczając z siebie część społeczeństwa akademickiego o zwróceniu swej uwagi na ziemie wschodnie.

Anna Sobczyńska.

BIBLIOTEKA
Nr. 505
Min. Pr... ...ieki Społ.

Podziękowania

Koło Młodych Towarzystwa Rozwoju Ziem Wschodnich, składa serdeczne podziękowania następujących Instytucjom i Firmom, które przyszły z pomocą organizatorom Kolonii w Młynku w lecie 1938 roku.

Lekarstwa dla dzieci i ludności Polesia ofiarowały:
Zarząd Główny P. C. K.,
Warszawskie Towarzystwo Farmaceutyczne L. Spies i Syn, Przemysłowo-Handlowe Zakłady Chemiczne S. A.,
Klawe, Towarzystwo przemysłowe chem.-farmaceutyczne, S. A.,
Gąsecki Adolf i S-wie, Mokotowska Fabryka Chem.-Farm., S.A.,
L. Nasierowski, Chem.-farm. zakłady przemysłowo-handlowe,
„Lek", Reformackie Pigułki z zakonnikiem.
Mydło:
Schicht-Lever, S. A., Przemysł tłuszczowy,
Majde i Ska, Zakłady chemiczne.
Słodycze:
E. Wedel, S. A., Fabryka czekolady,
Koczwarski M., Fabryka cukierków.
Zabawki:
„Bambino", Wytwórnia zabawek artyst.,
Tietz Z., Fabryka zabawek,
Z. Różycki, Fabryka zabawek i wyroby gumowe,
B-cia Jabłkowscy, Dom Handlowy.

* * *

Akademicka Pomoc Koleżeńska P. M. U. J. P. Spójnia składa serdeczne podziękowanie za pomoc udzieloną Obozowi Społeczno-Wychowawczemu w Tarakańcach i w Trokach następującym Instytucjom i Firmom:

1. Wojskowy Instytut Naukowo - Oświatowy,
2. Polski Czerwony Krzyż,
3. Alfons Mann — narzędzia chirurgiczne, Pl. Małachowskiego 2,
4. Jan Gessner — apteka i zakłady przemysł. chem.-farmaceut., Al. Jerozolimska 11,

5. Jodłowski — narzędzia chirurgiczne, Marszałkowska
6. Magister Klawe — zakłady chem.-farmaceutyczne, Karolkowa 22/24,
7. Aleksander Winiewicz — zakłady chem.-farmaceut., Grzybowska 88,
8. Ludwik Spiess i Syn — zakłady chem.-farmac., Hipoteczna 1,
9. „Remedia" — przedstaw. chem.-farmaceutyczne, Złota 7,
10. Adolf Gąsecki — Mokot. fabr. chem.-farmaceut., Belgijska 9,
11. T-wo Pediatryczne,
12. T-wo Higieniczne,
13. Państwowy Zakład Higieny,
14. T-wo Przeciwgruźlicze.

WAŻNIEJSZE WYDAWNICTWA

ZARZĄDU GŁÓWNEGO TOW. ROZWOJU ZIEM WSCHODNICH

Roczniki Ziem Wschodnich na rok 1939, 1938, 1937, 1936 i 1935.

Jan Dec — Dobrzy sąsiedzi.

Dr. L. Grodzicki — Jakie są potrzeby pod względem inwestycyj komunikacyjnych Ziem Wschodnich — 1936.

Dr. L. Grodzicki — Kilka słów o możliwościach kolonizacyjnych Polesia, obecnie i po przeprowadzeniu melioracji — 1936 Gospodarcze i kulturalne potrzeby woj. Poleskiego — 1937. Konferencja gospodarcza w Wilnie w dniu 11. XII. 1937 rok 1938.

Tomasz Bober — Zagadnienie Kas Bezprocentowych.

WYDAWNICTWA KOŁA MŁODYCH T. R. Z. W.

Nr. 1. „Młodzi na Ziemie Wschodnie", r. 1937.

Nr. 2. **Stanisław Trusiewicz** „Uwagi i dane o możliwościach ekspansji gospodarczej kupiectwa i rzemiosła polskiego na Polesiu — 1938 (wyczerpane).

Nr. 3. „Młodzi na Ziemie Wschodnie" — akcja obozów społecznych — 1938.

Nr. 4. **Władysław Pawlino** — Uwagi i dane o możliwościach ekspansji gospodarczej kupiectwa i rzemiosła polskiego na Wołyniu — 1938 (wyczerpane).

Nr. 5. Akademickie obozy pracy społecznej — 1939.

WYDAWNICTWA OKRĘGU NOWOGRÓDZKIEGO T. R. Z. W.

Henryk Łowiański — Rys historyczny woj. nowogródzkiego w jego dzisiejszych granicach (do 1795) — 1936.

Ryszard Mienicki — Ziemia Nowogródzka w dobie porozbiorowej (1793—1915) — 1935.

Celestyn Galasiewicz — Ziemia Nowogródzka. Najpilniejsze gospodarcze i kulturalne potrzeby — 1935. Ziemia Nowogródzka — podział administracyjny.

Andrzej Brochowski — Dzieje samoobrony w Szczuczynie Nowogródzkim (rok 1918-19) — 1936.

WYDAWNICTWA OKRĘGU TARNOPOLSKIEGO T. R. Z. W.

Bronisław Faliński — Powiat Kamionka Strumiłowa — 1935. Książka przodownika pracy społecznej na wsi — 1936.

WYDAWNICTWA OKRĘGU WILEŃSKIEGO T. R. Z. W.

Najistotniejsze potrzeby gospodarcze Ziemi Wileńskiej — 1937.

505 KPiP
1100505
1100505

DRUKARNIA
M. DRABCZYŃSKIEGO
WARSZAWA, SIENNA 33